NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 18 listopada 1905 r. Nr. 47.

„Czarne sotnie“ w Moskwie.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli § 455 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 46 czasopisma „Nowości illustrowane“ z dnia 11 listopada 1905 artykuł pod napisem „Zygzakiem“ od słów: „Ciężko poraniony“ do końca str. 14 tam 2 i 3 — zawiera znamiona występku z §: 300 i 491 uk. i art. V. ust. 17|12 1862 Nr. 8 Dz. up, że zakazuje się rozszerzania tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną prz z c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru, a cały nakład takowego ma być zniszczonym, albowiem autor w artykule t m wyszydza i zohydza c. k. dyrektora policyi w Krakowie, z powodu jego urzędowych zarządzeń a nadto zarzuca sędziemu śle czemu c. k. Sądu krajowego karnego w Krakowie, nieludzkie i ustawowe przeciwne postępowanie z obwinionymi. C. k. Sąd krajowy jako prasowy S. III. Kraków dnia 12 listopada 1905. Podpis nieczytelny.

Sejm galicyjski.

Dobiegamy do końca z uwagami o klubach polskich sejmu galicyjskiego. Czas zresztą naj-



Fot. Z. Klaften. Lwów.
Sejm galicyjski: Poseł Jakób Bojko.

wyższy, bo za dni kilka kończy się sesya obecna, obradująca od sześciu tygodni.

Pozostały nam jeszcze dwa kluby lewicy: ludowcy i Stojałowczycy.

VI. Ludowcy.

Klub to liczebnie bardzo słaby. Trzej włościanie: Jakób Bojko, Franciszek Krempa i Filip Włodek, oraz jedyny wśród nich „inteligent“, prezes klubu Jan Stapiński, *enfant terrible* sejmu galicyjskiego Działalność jednak tego klubu jest niezmiernie żywa, pełna temperamentu, szczerze i prawdziwie opozycyjna. Inna rzecz z produktywnością działalności ludowców w sejmie. Bo i cóż może tu garstka, tak bardzo szczupła, mając przeciw sobie całą zwartą prawicę, a bardzo często i demokracyę, a za sobą Stojałowczyków — a i to nie zawsze — i kilkunastu rusinów. *Nec Hercules...*

Niezmordowanym zaś w pracy jest prezes klubu, redaktor „Przyjaciela ludu“, Jan Stapiński. Nie ma ważniejszej sprawy na porządku dziennym, przy którejby Stapiński nie zabierał głosu. Czy mowa o szkołach i Radzie szkolnej krajowej. czy o banku krajowym, czy o parcelacyi, czy toczy się dyskusya budżetowa, Stapiński zawsze ma coś do powiedzenia, zawsze potrafi znaleść sposobność do wypowiedzenia pod adresem większości sejmowej gorzkich uwag, do podniesienia skarg i narzekań ludu. I gdy wyjedzie na ten swój ulubiony temat, na gospodarkę „obszarników“, wówczas płyną mu słowa niby potok górski, z siłą, z zapałem, z nieokiełzanym temperamentem. Warto go wtedy nie tylko słyszeć, ale i widzieć. Zaczerwieniony, często spocony, z rozwichrzoną płową czupryną, gestykuluje żywo, a głos jego zahartowany w długoletniej agitacyi, rozbrzmiewa szorstko i donośnie. Wspaniały typ agitatora i trybuna ludowego.

Postać Jakóba Bojki, „wójta z Grębboszowa“, zbyt dobrze znaną jest całemu ogółowi społeczeństwa polskiego, by potrzeba ją charakteryzować. Typ chłopa — idealisty, charakter czysty jak łza, inteligencya i wykształcenie jak na włościanina i samouka zgoła nie pospolite, dusza pełna poetyckiego polotu. Kiedy mówi, słuchają go wszyscy z uwagą, a mówi pięknie stosując mnóstwo wspaniałych, prawdziwie homeryckich porównać. Tymi samymi cechami odznaczają się jego rzeczy, ogłoszone drukiem — a jest ich liczba spora. W sejmie zasiada w tej kadencyi jako poseł miasta Lwowa, które obdarzyło go zaszczytnym mandatem, kiedy Bojko przepadł przy wyborach w swoim okręgu przeciw ks. Wilczkiewiczowi.

Dwaj inni członkowie stronnictwa ludowego, Krempa i Włodek Filip, pracują skrzętnie i tą pilnością wynagradzają brak wybitniejszych zdolności.

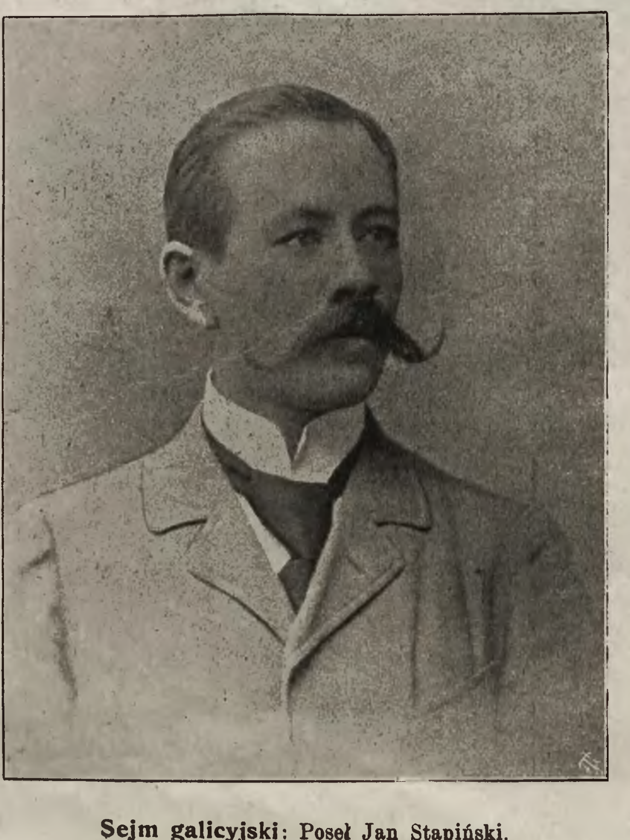
VII. Klub ks. Stojałowskiego.

W skład tego klubu wchodzą prócz ks. Stojałowskiego, inżynier Skołyszewski i włościanin Szajer.

O księdzu „prałacie“ w szczególnych ramach niniejszego artykuliku niepodobna pisać. Dzieje tego bądź co bądź nieposolitego człowieka, jego przejścia i jego wędrówki od skrajnego radykalizmu *via* Koło polskie do moskalofilstwa, to historya długa, ogromnie interesująca, a zarazem pouczająca. Nie można przy tem zapominać, że ks. Stojałowski jest właściwym twórcą ruchu ludowego w naszym kraju, że około tego ruchu i jego rozwoju położył ogromne zasługi. I był czas, kiedy wpływ ks. Stojałowskiego i jego stronnictwa był bardzo w kraju silny. Późniejsze jednak jego skoki, przy równoczesnym rozroście stronnictwa ludowego, osłabiły ogromnie i liczbę i wartość jego zwolenników. Toż koniec karyery politycznej ks. Stojałowskiego bardzo smutny przedstawia obraz. Przez swoich dawnych przyjaciół coraz bardziej opuszczany, przez stronnictwa inne namiętnie zwalczany, jest on świadkiem haniebnego upadku swoich teoryj, swoich ideałów. A najtragiczniejszem w tem wszystkiem jest to, że ks. Stojałowski — niegdyś uwielbiany i ubóstwiany — jest dziś przedmiotem ogólnej pogardy i lekceważenia, że nie ma obelgi, którąby go nie obrzucono. Smutny to, bardzo smutny, bardzo tragiczny koniec.

To też dziwną jest rzeczą, że poseł tak inteligentny i dzielny, jak inżynier Skołyszewski, godzi się na pracę pod komendą ks. Stojałowskiego. W krótkiej swej działalności sejmowej, okazał p. Skołyszewski wiele pracowitości, okazał znajomość stosunków w kraju i znajomość potrzeb ludu wiejskiego i stanowiskiem swojem w wielu sprawach zyskał sobie nie mało sympatyi.

Mniej sympatycznym jest trzeci członek klubu ks. Stojałowskiego, osławiony Tomasz Szajer. poseł do rady państwa. Niezaprzeczenie zdolny, zwłaszcza jako mówca ludowy i agitator nie wielu mający sobie równych, jest jednak często przedmiotem pośmiewiska, jako zbyt namiętny zwolennik propinacyi; występy p. Szajera w stanie pijaństwa



Sejm galicyjski: Poseł Jan Stapiński.

wyrobiły mu smutną sławę nietylko w kraju ale i w Wiedniu. W tej kadencyi nie brał dotąd p. Szajer udziału w obradach, jest bowiem poważnie chory.

W numerze dzisiejszym podajemy portrety prezesów obu klubów pp Stapińskiego i ks. Stojałowskiego, oraz p. Jakóba Bojki.

„Czarne sotnie“ w Moskwie.

(Do illustracyi tytułowej).

Najwytrwalsi obrońcy caratu, kozacy i policya, chwycili się po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego ostatniego środka, aby jeszcze raz pokazać carowi, że naród rosyjski nie życzy sobie konstytucyi, że przywykł do samodzierżawia i że o zmienieniu formy rządu nie myśli. Było to kłamstwem dziejowem, tem ohydniejszem, że policya wzięła



Sejm galicyjski: Poseł ks. Stanisław Stojałowski.

się zapóźno do rzeczy, bo właśnie w chwili kiedy cały naród rosyjski był ożywiony jedną myślą, myślą zdobycia wolności.

Czynownicy rosyjscy, chcąc mieć w ręku narzędzie do tłumienia i zwalczania ruchu rewolucyjnego, podjudzili najgorsze szumowiny społeczne do mordu i rabunku, aby w ten sposób sterroryzować ludność i odwrócić ją od ruchu rewolucyjnego. Zorganizowano więc bandy, rekrutujące się z ludzi o najwstrętniejszych instynktach, ze złodziei, morderców i nożowników, podjudzono ich do mordowania żydów i studentów, zapewniając im za to zupełną bezkarność, a nawet zdarzały się wypadki, że policya płaciła tym rabusiom po rublu dziennie, jak to było np. w Odessie. Bandy te. którym nadano nazwę „czarnych sotni“, dopuszczały się też najpodlejszych ekscesów, tak, że policya, która ich dawniej do rabunku zachęcała obecnie nie może sobie dać rady, aby ukrócić krwawe instynkty rozpasanego motłochu.

Dały się te bandy ogromnie we znaki ludności Petersburga, Odessy, Kazania, Kiszyniewa, ale najbardziej mieszkańcom Moskwy. Wściekłość „czarnych sotni“ zwróciła się w Moskwie szczególnie przeciw studentom, tym pionierom myśli rewolucyjnej w społeczeństwie rosyjskiem. Można zaś stódentów łatwo rozpoznać, bo wszyscy noszą mundury przepisowe, nawet słuchacze uniwersytetu i politechniki. Gdzie tylko pokazał się student na ulicy, rozpasana czerń. pod wodzą przebranych policyantów rzucała się nań z furyą i poprostu rozszarpywała w kawałki. Napadano na domy, w których mieszkali rewolucyoniści. burzono je i plądrowano, zabijając przytem kobiety i dzieci i pastwiąc się w barbarzyński sposób nad trupami. Szkołę inżynierii w Moskwie rozszalała czerń przez całe dwa dni trzymała w oblężeniu, zasypując gmach, w którym się ukrywali studenci, gradem kamieni. To co się działo w ostatnich dniach w Moskwie, było tak straszne, że słusznie dać

tę nazwę musi historya barbarzyństwem, przynoszącem hańbę cywilizacyi XX. wieku.

Jednak obrońcy caratu przeliczyli się. Robotnicy i wogóle wszyscy zwolennicy wolności wystąpili przeciw „czarnym sotniom" z bronią w ręku i byliby rychło przywrócili porządek, gdyby w obronie rozpasanych tłumów nie stała policya i wojsko. Ale te tłumy, używane przez policyę jako narzędzie do zwalczania rewolucyonistów, wyrosły ponad głowy mistrzów i chciały być panem, tak, że wreszcie i policya musiała się wziąć do nich. Tak więc nie udało się policyi zdyskredytowanie ruchu rewolucyjnego. Ruch ten, któremu ze strony czarnych sotni groziło poważne niebezpieczeństwo, zyskał o tyle na krwawych grabieżach motłochu, że żywioły uczciwe, dążące do wolności, oddzieliły się wyraźnie od żywiołów zbrodniczych, które są zawsze gotowe do wielkich nadużyć.

Ilustracya, zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, przedstawia jednę ze strasznych scen, jakie się rozgrywały w Moskwie w ostatnich dniach, mianowicie, kiedy po zdemolowaniu domu „czarna sotnia" pastwi się nad trupami pomordowanych kobiet.

Szkoła nauk politycznych.

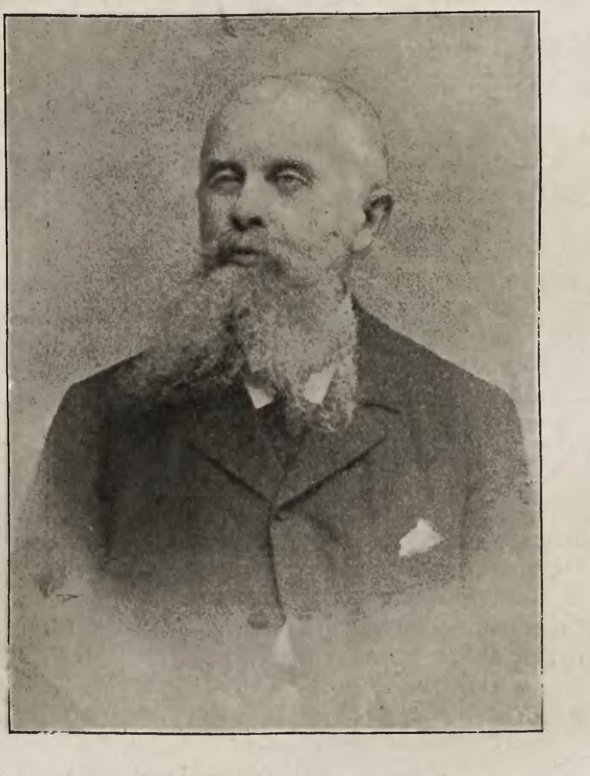
Naród nasz od chwili utracenia niepodległości żyje w ogromnie ciężkich i trudnych warunkach politycznych. Rozmaite w każdym z zaborów stosunki, wymagają też rozmaitej polityki, której jednak jeden musi być cel: odzyskanie niezawisłości. Aby zaś ta polityka była realną, aby uwieńczył ją pomyślny wynik, muszą ci, którzy nad odrodzeniem narodu mają pracować, znać i rozumieć własne społeczeństwo, znać jego historyę i warunki dalszego rozwoju. Do tego właśnie dąży „Szkoła nauk politycznych", instytucya od lat trzech istniejąca i działająca we Lwowie.

Założyciele tej instytucyi pragnęli utworzyć nowy punkt zborny, nową pracownię i uczelnię dla uprawy nauk społecznych i politycznych, a mianowicie takiej uprawy, która zmierzać będzie stale do jednego, raz na zawsze z góry przyjętego celu, t. j.; do umiejętnego poznania własnego społeczeństwa. Do celu tego dąży „Szkoła nauk politycznych" przez utrzymywanie biblioteki i pracowni naukowej, przez wydawnictwo dzieł i pism, ogłaszanie konkursów, subwencyonowanie prac naukowych, przez urządzanie kursów, wykładów, pogadanek z dziedziny nauk społecznych i politycznych, a więc socyologii, ekonomii, nauki o państwie, etyki, prawoznawstwa, historyi, statystyki, etnografii, z szczególnem uwzględnieniem porozbiorowych dziejów Polski.

Najpiękniej rozwija się dotychczas dział kursów i wykładów. W tym kierunku jest „Szkoła nauk politycznych" niejako typem wyższej szkoły. Wynika to z wykładanych przedmiotów i z rodzaju słuchaczów. Są nimi osoby z klasy oświeconej, posiadające podstawowe wykształcenie bądź po ukończeniu studyów, bądź przez wyrobienie się w życiu, osoby z pojęciem, że do zajęcia stanowiska człowieka oświeconego potrzebne jest oświecenie się obywatelskie.

Z początkiem bieżącego miesiąca odbyła się uroczysta inauguracya nowego, czwartego z rzędu, roku działalności tego pożytecznego towarzystwa. W mowie w dniu owym wygłoszonej, skreślił prezes towarzystwa, profesor ekonomii politycznej na uniwersytecie lwowskim dr. Władysław Ochenkowski, cele i zadanie „Szkoły", oraz przedstawił wyniki dotychczasowej pracy. Wyniki te są zupełnie zadowalające. Życzyć więc tylko można, by dalszy rozwój "Szkoły nauk politycznych" był jak najpomyślniejszy.

W dzisiejszym numerze podajemy portret prezesa „Szkoły" prof. dr. Wł. Ochenkowskiego.



Szkoła nauk politycznych: Prof. dr. Wł. Ochenkowski, prezes szkoły nauk politycznych we Lwowie.

Echa strejku kolejowego w Moskwie.

Rewolucya rosyjska, aczkolwiek w skutkach swoich nie mniej wielka jak rewolucya francuska przed stu laty, różni się jednak od tej ostatniej ogromnie pod względem sposobu prowadzenia walki. Wynikało to już z natury ludu rosyjskiego. Natura rosyjska jest pierwotną dla tego jest radykalną, jak każda młodość i każda pierwotność. Skoro niewola, to ta najstraszniejsza, najciemniejsza i najzupełniejsza; skoro wolność, to już koniecznie ptasia. Bo Rosyanin nie zna kompromisów. I dlatego mieliśmy w czasie rewolucyi rosyjskiej rzeczy, jakie się nam z początku niezrozumiałemi wydawały. Naprzód walczono z wojskiem, z kozakami na ulicach miast. Krew robotnicza zbroczyła bruki wszystkich miast rosyjskich, a zwycięstwo było wciąż dalekie, jakby niedoścignione. Naród rosyjski chwycił się więc dziwnego środka walki. Cały naród pewnego dnia — zastrejkował. Stanęły więc wszystkie warsztaty przemysłowe, wszystkie fabryki, zamknięto nawet sklepy i apteki.

Najstraszniejszym jednak w tym strejku był strejk kolejowy. W olbrzymiem, na zasadach nowoczesnej techniki zbudowanem państwie, stanęły nagle koleje. W najważniejszym, jedynym w porze zimowej narzędzie krążenia w organizmie państwowym zatrzymały się soki. Milionowa Moskwa, centrum ruchu handlowego całej Rosyi, olbrzymia kuźnica kapitałów, poprostu żołądek gigantycznego państwa, została nagle najzupełniej odcięta od świata. Półtora-milionowy Petersburg, mózg państwa, został pozbawiony łączności ze światem. — Setki tysięcy wagonów, naładowanych zbożem stanęło w drodze, zawalając tory i rujnując kupców i kupujących. Miliony pudów pszenicy, żyta zgniło w szarudze jesiennej, rozsypane koło stacyi na błoto i kałużę. W tym strejku kolejarzy było coś olbrzymiego, coś gigantycznego, mistycznego niemal. Był to najzacieklejszy opór klas pracujących, które narażały się same na materyalne zniszczenie, byle tylko jaknajprędzej zrujnować znienawidzonego wroga, samodzierżawie. I właśnie pod ciosami tego oporu zwalił się carat i upadł. Bezczynna, bierna rewolucya okazała się lepszym środkiem zwycięstwa, aniżeli rewolucya czynna.

Hasło do strejku kolejowego dała Moskwa. Tam się zaczął strejk kolejarzy i stamtąd rozciągnął się na całe państwo rosyjskie. Kolejarze w Moskwie dali hasło do biernej rewolucyi i od nich to faktycznie wyszło zwycięstwo. Dworce moskiewskie zamieniły się na miejsca zgromadzeń, na których w płomiennych słowach wzywano do walki na śmierć i życie z rządem. A zgromadzenia te odbywały się po większej części pod gradem kul carskich posiepaków.

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze rycinę, przedstawiającą napad wojska na kolejarzy, wiecujących na jednym z dworców moskiewskich.



Echa strejku kolejowego w Moskwie: Wojsko rozpędza strejkujących kolejarzy, obradujących na jednym z dworców kolejowych w Moskwie.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

25 (Ciąg dalszy).

— Najpierw, aby mnie nie przepędzono i abym silnie stanął; następnie muszą mnie robotnicy szanować jako fachowego i pracowitego robotnika, który dba o swój byt. Takiemu, jak sądzę, łatwiej uwierzą i chętniej posłuchają jego rady i żaden nie bluźnie mi w oczy, że jako panu łatwiej sprzeciwić się fabryce i rządowi. A gdy raz zdobędę ich zaufanie, gdy moje ręce — pokazał swe szorstkie, namulone dłonie — nie będą się różniły od ich rąk, wówczas będzie iść nasza robota! — zaśmiał się.

— Doskonały plan i metoda — zachwycała się Olga.

— Dlaczego nie powiedzieliście mi przedtem — mówiła Helena z wymówką — byłabym się zastosowała.

— Nie wiedziałem, że tak postąpię, ale rozejrzawszy się na miejscu, we fabryce powziąłem takie postanowienie. Zresztą metoda zależy od warunków, w których się pracuje. Będąc na waszem miejscu, koleżanko, starałbym się nawiązać nici zerwane aresztowaniem Kazi.

— A nie macie wiadomości o jej organizacyi?

— Nie, koleżanko, ale dopytajcie się, z kim żyła, z kim się przyjaźniła, to nie jest tak dalece trudnem.

— Prawda... postaram się.

Jednak Paweł miał racyę, mówiąc, że kobiety są bardzo dobre, gdy idzie o wykonanie polecenia, pomyślał Żalecki, patrząc na Helenę, lecz gdy zwrócił oczy na Olgę, przyznał, że od reguły są wyjątki i tem chętniej poddał się uczuciu miłości, które go przepełniało.

Miał ochotę uklęknąć przed nią, całować jej ręce, mówić jej o swej miłości bezbrzeżnej, o tęsknocie za nią, o swych pragnieniach i marzeniach.

Olga odczuła ten jego wzrok, a może przeczytała jego myśli, bo ni stąd, ni zowąd rumieniec oblał jej twarz rozjaśnioną, poruszyła się niespokojnie, jak ptak spłoszony i spuściła oczy.

— Czy nie mieliście wiadomości od Walczaka? — spytała Helena.

Żalecki oprzytomniał, trochę zdziwionemi oczyma popatrzył wokoło, bo tak był daleki od tego życia, a tak bliski Olgi i po krótkiem milczeniu odrzekł:

— Nie, koleżanko... przypuszczam jednak, że w tych czasach albo przyjedzie, albo napisze.

— Skąd wnosicie? — odezwała się Olga.

— Mówiono mi, że pan Paweł wyjeżdża ze Szwajcaryi, a on nie jedzie do Polski z próżnemi rękami.

— Jeśli tak, to kolega Walczak będzie miał robotę — rzekła Helena — ale wiecie, tu duszno w pokoju, niebo się rozjaśniło, przejdźmy się.

Zgodzono się chętnie. Olga i Żalecki schodzili pierwsi ze schodów, Helena bowiem zatrzymała się, aby zamknąć drzwi.

— Koleżanko — prawie szeptał — czy wiecie, że jeszcze dwadzieścia jeden miesięcy i osiemnaście dni?

— Tak szczegółowego rachunku nie prowadzę — uśmiechnęła się zalotnie — ale wierzę wam na słowo.

— I już nie będzie żadnej zmiany, żadnej zwłoki?

— Nie będzie — podała mu rękę.

— Dziękuję — nachylił się i pocałował w rękę.

— O, brzuje! — zaśmiała się Helena. — Niewolnicy, hołdujący przeżytym formom pokory! Czy wam nie wstyd?

— Koleżanka Borwicz przy swoich dywanach zachorowała na daltonizm — śmiał się Żalecki — wszystko jej się dwoi, bo niema niewolników, tylko niewolnik.

— Nieszczęsny towarzyszu, skrusz twe pęta! — zawołała z patosem.

— Nie żałujcie mnie, bo będę wolny i szczęśliwy — zaśmiał się.

— Olgo! Czy to prawda?!

— Wszak wiesz Heleno — mówiła uśmiechnięta i rozjaśniona — „w naszych stosunkach obowiązuje tylko i jedynie prawda" — powtórzyła słowa Żaleckiego i spojrzała na niego.

— Ja się tego domyśliwałam... Czy chcecie, ażebym was pobłogosławiła?

— Za wcześnie — zaśmiała się Olga — przyjdzie czas i na to. Ciebie poproszę na drużkę.

— Bardzo dobrze, a kto będzie drużbą?

— Byle nie Walczak — uśmiechnął się Żalecki.

— A to dlaczego? — zawołała Olga.

— Podobno są kanoniczne przeszkody, że drużbowie nie mogą się pobrać.

— A to skąd ten koncept? — powiedziała zaczerwieniona Helena.

— Tak sobie... z powietrza wiośnianego.

— Chyba, że z powietrza — mruczała Helena nachmurzona.

— Idziemy w Aleje Ujazdowskie — mówił Żalecki, skręcając Bracką na Plac Aleksandra — „chcę powietrza, chcę stepu do woli".

— Jesteście dziś poetycznie nastrojeni — zaśmiała się Helena.

— Mam wszelkie powody po temu. Najpierw jestem szczęśliwy, że z wami idę.

— Ze mną?

— I z koleżanką Wojtyrską; następnie czuć wiosnę, wreszcie Moskale ponieśli klęskę na morzu, dostaną jeszcze łupnia na lądzie i zawita wiosna ludów, wiosna wolności naszej.

Wszczęli żywą rozmowę o wojnie, o polityce, o możliwej mobilizacyi i czas mijał im szybko i wesoło.

Jakiś przechodzący spytał Żaleckiego o godzinę.

— Za dziesięć piąta.

— Co mówicie? — zawołała Olga, a sprawdziwszy na swym zegarku, dodała — muszę wracać natychmiast, czekają na mnie z obiadem.

— Dwie minuty nie zrobią różnicy — uśmiechnął się — otóż, gdybyście mieli coś równie ważnego, idźcie wprost do Komara.

— Dobrze. Nie wiecie na czem skończyła się wyprawa do Łodzi?

— Nasza się powiodła, a ten pan wczoraj był jeszcze na miejscu... czy bywa u waszej ciotki?

— Tak jest.

— A jaki jest względem was? — spytał podejrzliwie.

— Jak zwykle w salonie — odpowiedziała spokojnie, nie chcąc budzić zazdrości.

— Do was można pisać?

— Naturalnie; i przyjść możecie. Jestem tak wolna, że nawet mam klucz od zatrzasku — pokazała mały kluczyk — ale muszę już jechać — skinęła na dorożkę — do widzenia... a kiedy?

— U mnie w niedzielę o jedenastej.

— Będę. Do widzenia.

Żalecki tak się wpatrzył w dorożkę odjeżdżającą z Olgą, że Helena musiała zawołać:

— Chodźcie kolego! Czy wy tacy zakochani?

— Bardzo.

XI.

Rotmistrz Bolcew przyjechał w niedzielę do Warszawy i dowiedział się telefonicznie od Jana, że Olga, wyszedłszy przed jedenastą rano, wróciła dopiero po piątej popołudniu, tłómacząc się przed ciotką, że była z koleżanką, a na pytanie Sudkiewicza, czy i z kolegą, nic nie odpowiedziała, tylko się zmieszała.

Co to znaczy? — rozmyślał Bolcew, spacerując w gabinecie z papierosem w ustach; zapewne była w kościele, potem poszła na wystawę obrazów, spotkała się z koleżanką, to możliwe, ale dlaczego zarumieniła się, czy zmieszała się, że był tam kolega?...

Żądło zazdrości ukłuło go. A jeśli ona naprawdę chodzi na schadzki z kochankiem? Więc względem niego, który chce się z nią żenić, jest zimną, nieprzystępną, obrażającą się, a dla tego drugiego ma czułe słowa, uściski, oczy...

I kto jest ten drugi? Dlaczego ona wybrała tamtego, a nie jego?

Stanął przed lustrem i obejrzał się. Istotnie był przystojnym mężczyzną, włosy czarne, bujne, wysokie czoło, rysy twarzy regularne.

Nie, on tego upokorzenia nie zniesie, aby ona go odtrąciła... on gotów w piekło pójść za nią, a ona zapewne drwiła z niego, naśmiewała się z jego zakochanej miny, z jego słów czułych...

Czuł rosnący gniew i zaciętość. Z bezsilnej złości przygryzał usta, szarpał włosy, gryzł palce...

Stopniowo uspokajał się i błysnęła mu myśl, że najpierw Jan mógł źle zrozumieć zmieszanie Olgi, może się wcale nie zmieszała, a może z innych powodów, czyż taki lokaj umie spostrzegać? Następnie, mogła się nawet zmieszać, bo to pytanie dotknęło jej niewinności, ona przecież taka czysta, taka dziewicza, sam to widział na balu i u nich, czy ma nie wierzyć własnym oczom?

Pójdzie dziś do Sudkiewiczów i przekona się o prawdzie; po co ma się truć niepewnością i podejrzeniami?

Wieczorem zadzwonił i spytał:

— Panie są? — a otrzymawszy potakującą odpowiedź, rozkazał: — Idź, zamelduj, masz za wiadomość dzisiejszą, — wsunął mu pieniądz.

— A pan rotmistrz? Jakże mi miło.

— Przyszedłem zaraz po przyjeździe.

Weszła Olga.

— Jakiż rezultat z podróży? — pytała Sudkiewiczowa. — Spodziewam się, że jak zawsze świetny.

— Tym razem nieszczególnie się powiodło. Istotnie nici przerwały się nagle, widocznie domyślono się, że jesteśmy na tropie. Ale nie udało się dziś, uda się jutro. Cóż u pań słychać?

— Siedzimy w domu samotnie, — westchnęła pani, — czekam wiadomości od męża, czy dostał lożę na operę dzisiejszą.

— Więc panie mają zamiar wyjść?

— O ile będzie loża i pana zapraszamy.

— Bardzo obowiązany, a pani — zwrócił się do Olgi — dzisiaj długo spacerowała?

— Tak jest... spóźniłam się nawet na obiad, za co otrzymałam burę od cioci.

— No, znów bura nie... ale uwaga, bo rozumie pan rotmistrz, że są potrawy, które nie mogą czekać bez utraty smaku.

— Co prawda, nie rozumiem się na tem, ale wszystkie potrawy musiałyby czekać... na moją żonę.

— Tak się to mówi, póki się jest starającym.

— O, ja zawsze będę taki.

— Zobaczymy, zobaczymy, — uśmiechnęła się.

— Pani zapewne była na wystawie... czy jest co nowego? ładnego?

— Nie byłam... spotkałam koleżankę, i tak gawędziłyśmy, że zapomniałam o obiedzie.

— Zapewne z uniwersytetu, — uśmiechnął się.

Już pani Sudkiewicz otworzyła usta, by potwierdzić, gdy Olga przerwała:

— Koleżanka z pensyonatu petersburskiego.

Rotmistrz zbyt często prowadził śledztwo, by nie spostrzegł ruchu ciotki. Coś w tem jest? coś ukrywa?

— Całe szczęście dla nas, — zaśmiał się dobrodusznie, — że to nie był kolega, mogła pani przyprawić cały obiad o stratę smaku.

— Ach, jacy ci mężczyźni nieznośni — zrobiła pani minkę niezadowolenia — tę samą uwagę zrobił mój mąż. A gdyby się która z nas spotkała z kolegą, czy nie wolno? czy my niewolnice? A wy nie spotykacie się z koleżankami?

— Ależ wolno... wolno... zażartowałem.

— Zawsze jakieś podejrzenia... domysły — gromiła pani.

Olga w obawie, by nie narazić Heleny, zajętej we fabryce, a przyjaźniącej się z nią, powiedziała o pensyonacie, a teraz zdjął ją strach o Żaleckiego i rzekła z miłym uśmiechem:

— Ciocia niepotrzebnie się oburza na pana rotmistrza i ja uważam za niewłaściwe spędzać gdzieś po ulicach kilka godzin z kolegą, zamiast zaprosić go do siebie, do domu, a swoją drogą utrzymuję z ciocią, że spotykać się z znajomymi czy kolegami, każdej z nas wolno.

— Pani tylko moją myśl lepiej wyraziła! Ach, jaka pani mądra.

— Czy dlatego, że pańską myśl rozwinęłam? — zażartowała swobodnie

— Jestem głupi, przyznanie maże winę — uderzył się w piersi.

— I ja inaczej rozumiem — wmieszała się pani — nasz stosunek do mężczyzn, aniżeli ty, Olgo; szło mi tylko o nieskrępowanie naszej swobody towarzyskiej.

— Gdyby to nie była koleżanka, która zresztą czekała na swego wuja czy stryja, a był nią kolega, byłabym go napewne zaprosiła tutaj, do cioci.

— Dlaczegóż nie do siebie? Wolno ci przyjmować gości, bez krępowania się salonem.

— O, to pani ma zupełną wolność — zauważył rotmistrz.

— Najzupełniejszą — dodała pani — ma swój elegancki pokój, w którym może przyjmować i klucz od zatrzasku.

— No, no, i klucz? — dziwił się — a który to pokój?

— Nie widział go pan? — zawołała pani, chcąca się pochwalić urządzeniem pokoju — nie mogę tam pana poprosić bez pozwolenia Olgi.

— Niech pani raczy pozwolić — odezwał się błagalnie.

— Ależ owszem, proszę.

Przeszli do pokoju Olgi, bardzo czystego, zacisznego, przepełnionego zapachem wiosennych kwiatów.

— Ach, jak tu rozkosznie — westchnął rotmistrz.

— Siadaj pan — uśmiechnęła się pani — i czy nie piękne gniazdko uwiłam dla złotego ptaszka?

— Prześliczne... jaka tu harmonia, spokój, tu można zapomnieć o burzy życia, a śnić tylko o szczęściu.

— Cóż za elegia! — zaśmiała się pani.

— Mówiłem prawdę — i rozglądając się w pokoju — tu pani czyta, marzy... a gdzież pani sypia?

Zamiast Olgi odpowiedziała ciotka z uśmiechem uradowanym:

— Tu śpi... i w tem jest sekret. Zgadnij pan, gdzie stoi wygodne łóżko?

— Hm... zapewne wnosi się na noc.

— Nie, stoi tu... widzi pan tę kanapkę w rogu... pociśnie się sprężyna i z kanapki robi się łóżko.

— Ach, jak to sprytnie... niby kanapka, a to łóżko.

— I wygodne, z materacami, czy nie, Olgo?

— Bardzo dobre, ciociu.

Gdy wychodzili, nadbiegł Jan.

— Gdzie idziesz?

— Ktoś dzwoni, jaśnie pani.

Zaczekali, póki Jan nie otworzył. Za drzwiami stał posłaniec i podawał list. Odebrała go pani, a rozdarłszy kopertę, rzekła:

— Jest loża... idziemy! Pan rotmistrz może zechce poczekać na nas w salonie, albo może pan woli przyjść wprost do loży?

— Będę w loży.

Od tej pory rotmistrz Bolcew jakimś dziwnym dla pań przypadkiem spotykał je zawsze w teatrze, na koncertach, we Filharmonii, na spacerze. Najczęściej witał się i rozmawiał to dłużej, to krócej, a już co najmniej kłaniał się z uśmiechem przyjaźni i szacunku.

W następną niedzielę dowiedział się rotmistrz, że Olga wychodziła sama z domu, lecz wróciła o trzeciej z wystawy. Istotnie Olga spotkała się ze Żaleckim u Heleny, lecz on był zmuszony wyjść o pierwszej w sprawie ważnej, a one obie poszły na wystawę.

Tym razem wiadomość o nieobecności Olgi w domu, nie zaniepokoiła rotmistrza, a przy najbliższem spotkaniu obiecał przyjść na lekcyę o robocie socyalistycznej.

Wszedł do salonu z elegancką teczką.

— Przyszedłem na lekcyę i to, jak teraz w modzie, poglądową — zaśmiał się.

— Poglądową? — zdziwiła się pani.

— Przyniosłem broszury, aby stwierdzić moje słowa. Są tu w tej teczce — podniół w górę.

— Ach, jaka ładna — chwaliła pani.

— Może i ładna — uśmiechnął się — ale, że ważna, to wiem.

— Jeżeli z powodu broszur, które tam są, to nie ważna — mówiła pani z lekceważeniem — gdyż pewno są podobne do tej odezwy.

— Nie dla broszur, ale są w niej papiery ogromnej wartości.

— Premiówki? Losy? Akcye? — śmiała się Olga wesoło, patrząc z zajęciem na teczkę.

— Nie zgadła pani. Tę teczkę przeznaczyłem tylko na socyalistów, tu są ich dokumenta i nasze przeciwdziałanie. Dziś ma być lekcya — uśmiechnął się — więc wziąłem ją ze sobą.. I ma ona jeszcze jednę zaletę, że nikt jej bez zepsucia zamka nie otworzy. Teczkę można kupić, ale nie zamek.

— Pokaż pan, spróbuję! — zawołała pani.

Oglądała, próbowała, naciskała, co Olga śledziła z wielkiem zajęciem, doradzając to i owo. Wszystko naprożno, teczka nie otwierała się.

— Teraz ja spróbuję — powiedziała Olga.

— I owszem, służę pani... a może pójdziemy o zakład... trzymam, co pani każe.

— Nie, nie trzymam nigdy zakładów.

— Próbuj pani.

Olga pilnie wpatrywała się w zamek, od którego na prawo i lewo szły wyszycia grubsze i cieńsze. Już jak ciotka próbowała otworzyć, zauważyła, że poruszenie dolnych wyszyć przyprawia zamek o lekkie zbuczenie. Dojrzała, próbując rozmyślnie teczkę na różne sposoby, że jeden sznurek wyszycia nie kończy się gwiazdką, lecz wygina się i gubi pod zamkiem.

Podeszła do okna, aby lepiej dojrzeć, odwróciła się od rozmawiających, szarpnęła za to wyszycie sznurkowe i zamek odskoczył. Pobladła ze wzruszenia; ach, gdyby zabrać te ważne papiery, lecz teraz niemożliwe, patrzą, usłyszą szelest i spokojnie nacisnęła zameczek, a oddając teczkę rotmistrzowi:

— Nie, nie umiem.

— A widzi pani — tryumfował — a ja, raz dwa, trzy — schował teczkę pod stół, pokazując następnie — już otwarta.

— Naucz mnie pan, naucz — prosiła pani.

— Nie mogę... to tajemnica.

— Ale ten, który to robił, wiedział o niej.

— Ten nie powie... umarł w więzieniu.

Olga pobladła, spojrzała z przerażeniem na rotmistrza, który dostrzegłszy to, starał się ją uspokoić:

— Nie został zabity — uśmiechnął się — ale jadąc na Sachalin, umarł na okręcie. Takich zamków zrobił tylko trzy.

— A u kogo dwa inne? — spytała pani.

— Jeden w Petersburgu u generała, a jeden u pułkownika naszego. Gdyby szło tylko o teczkę, mógłbym powiedzieć, darować, ale zobowiązaliśmy się słowem oficerskiem do zatrzymania tajemnicy.

— A, w takim razie, wobec słowa, cofam moje żądanie — skłoniła pani ładnie ufryzowaną główkę.

— Może lekcyę zrobimy w pokoju pani? — zwrócił się do Olgi.



...Podeszła do okna, aby lepiej dojrzeć, odwróciła się od rozmawiających, szarpnęła za wyszycie sznurkowe i zamek odskoczył...

— Wolę w salonie... tu więcej powietrza i światła.

— Wyjdę na chwilę w sprawach gospodarskich... pozwoli pan na herbatę z nami?

— Jeśli pani łaskawa — i byłby się zgodził na smołę nawet, byle być sam na sam z Olą.

Wpatrzył się w nią i rozważał, czy wyznać jej swą miłość teraz, czy też później... zdecydował, że trzeba czekać dogodnej sposobności.

— Zaczynamy, panie rotmistrzu.

— Dobrze... i pani naprawdę chce coś wiedzieć o partyi przewrotu?... A może pani ma ochotę zostać socyalistką? — uśmiechnął się.

— Nie znam ich działalności.. nie znam ich zasad... nie mogę też chcieć zostać socyalistką. Jakkolwiek słyszałam, że wielu bardzo porządnych ludzi należy w Petersburgu do socyalistów.

— Ktoś pozwolił sobie zażartować z pani — zaśmiał się — kto przyznaje się do socyalistów, już nie należy do porządnych ludzi, lecz do bandy przewrotu całego porządku świata. Może pani źle, to jest niedokładnie się wyraziła, że do socyalistów należą inteligentni.

— To bardzo możliwe — pospieszyła Olga.

— Z nich to, z inteligentnych, rekrutują się agitatorzy najniebezpieczniejsi. Taki pan wchodzi w znajomość z robotnikami i nuż ich buntować na państwo, na rząd, na porządek, na prawa, na religię, na fabrykantów, dyrektorów, podatki...

— Pan tylko wylicza, ale co oni mówią? To najciekawsze dla mnie.

Zaczął jej tedy wyjaśniać z punktu widzenia żandarma, zasady socyalizmu i jego przewrotowych dążeń w każdej dziedzinie społecznej.

Olga, która miała pod tym względem już ustalone przekonanie, udawała tylko zainteresowanie, cała pochłonięta myślą zdobycia tajemnic teczki i spoglądała na nią często.

— Widzę, że pani chce już broszur — uśmiechnął się — zaraz dam i zostawię pani do odczytania, ale pod warunkiem zwrotu tych książek.

— A gdybym nie zwróciła? — zaśmiała się.

— Nie mógłbym zostawić pani... takich rzeczy nie wolno mieć prywatnym osobom, chyba, że to żona...

— W takim razie oddam. Jak długo wolno mi trzymać?

— Aż do przeczytania... zresztą widzimy się dosyć często, a raczej ja panią widuję, bo szukam, bo mojem jedynem szczęściem na świecie widzieć panią, słyszeć ją.

— I doznaje pan tego szczęścia — zaśmiała się swobodnie — dziwnym trafem spotyka nas pan wszędzie.

— To przeczucie serca, ono mnie prowadzi, i zeszłej niedzieli widziałem, jak pani szła na wystawę.

— Prawda, byłam istotnie — zdziwiła się Olga szczerze.

— Już się pani chyba przekonała, jak bardzo zależy mi na pani, że nie opuszczam najmniejszej sposobności, byle zobaczyć panią.

Olga czuła, że zbliża się chwila oświadczyn, jeśli odmówi stanowczo, straci jedyne i pewne źródło wiadomości potrzebnych partyi, a znów sama obietnica oburzała ją, jako Polkę i socyalistkę. Co tu robić?

I nagle przypomniała się jej rozmowa, którą prowadził z nią Bolcew na zabawie.

— Panie rotmistrzu, zna pan zapewne to przysłowie, że, aby się poznać, trzeba zjeść beczkę soli. Tej nie zjedliśmy jeszcze... A cóż dopiero mówić o duszy, o charakterze, usposobieniu? Sam pan rotmistrz na balu u państwa Martynow powiedział, że inni w kobiecie widzą tylko piękną kobietę, a pan chce duszy... I ja jestem tego samego zdania, co pan.

Rotmistrzowi pochlebiło to bardzo, że ona pamiętała słowa jego, ale z drugiej strony, czy to nie jej wybieg.

— Panno Olgo, ja jestem szczery, otwarty człowiek, u mnie serce jak na dłoni, a każde słowo prawdziwe. Czy mnie poznać tak trudno? czy trzeba na to tyle czasu i zachodu?

— Sądziłam, że pan lepszy psycholog — zaśmiała się — dusza, to nie komórka, jak mówią nihiliści, pan to opowiadał sam, to rzecz bardzo złożona, bardzo delikatna, bardzo głęboka i tajemnicza. Gdyby była prostą, niezłożoną, czy trzebaby tyle śledztw, tyle przebiegłości, tyle sprytu, aby odczytać duszę obwinionego? I jakże pan chce, abym ja, taka niedoświadczona, po kilku tygodniach zbadała duszę i jej zupełnie zaufała?

— Niema co, po stronie pani prawda... A długo pani zamierza badać?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy generalny inspektor armii austryackiej.

Po śmierci arcyksięcia Albrechta, który piastował godność naczelnego wodza armii austryackiej. zostali po raz pierwszy mianowani generalni inspektorzy wojsk, którym poruczono zawiadowanie poszczególnymi korpusami, oraz kierownictwo wielkich manewrów w czasie pokoju, przeznaczając ich na dowódzców w czasie wojny. Dotychczas jedynym generalnym inspektorem był arcyksiążę Fryderyk. W ubiegłym tygodniu godność tę, najwyższą, jaka istnieje w armii austryackiej, nadał cesarz również i generałowi Galgotzy'emu, byłemu komendatowi korpusu przemyskiego.

Generał Galgotzy urodził się w roku 1837 w Szepsi-St. György w Siedmiogrodzie. W roku 1851 wstąpił dobrowolnie do wojska. Ukończywszy szkołę wojenną z odznaczeniem, mianowany porucznikiem, służył Galgotzy naprzód w trzecim. a podczas wojny w roku 1866 w piątym korpusie armii. W bitwie pod Custozzą odznaczył się po raz pierwszy jako znakomity strategik i dowódca, za co otrzymał order żelaznej korony trzeciej klasy oraz odznaczenie wojenne. Po wojnie był aż do roku 1870 w wojskowym instytucie geograficznym. awansował w tym roku na majora, a w roku 1871 przydzielono go do sztabu generalnego we Lwowie. W trzy lata później został szefem sztabu generalnego w Bernie morawskiem, w roku 1878 brał udział jako delegat sztabu generalnego w operacyach w Bośni, a w jesieni w roku 1881 objął naczelną komendę 34 pułku piechoty. Kiedy w styczniu 1882 wybuchły niepokoje w Bośni i Hercogowinie, objął pułkow. Galgotzy prowizoryczną komendę 6 brygady w Bileku i operował swemi wojskami tak zręcznie, że zgniótł powstanie w przeciągu kiku tygodni. Najwyższe uznanie było dlań nagrodą za genialne rozwiązanie tego zadania. Mianowany w tym roku generał majorem, został komendantem wspomnianej wyżej brygady, w roku 1887 zastępcą szefa generalnego sztabu, a wkrótce potem marszałkiem polnym. W październiku 1891 mianowany został komendantem korpusu przemyskiego, gdzie pozostawił po sobie bardzo smutną pamięć. W roku 1895 został mianowany jenerałem zbrojmistrzem, a obecnie otrzymał najwyższą godność w armii, godność generalnego inspektora. Gen. Galgotzy cieszy się szczególną łaską cesarza Franciszka Józefa.



Nowy generalny inspektor armii austryackiej: Antoni Galgotzy. były komendant korpusu przemyskiego, mianowany świeżo generalnym inspektorem armii austryackiej.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię nowego inspektora armii, generała Galgotzy'ego.

Z dni grozy w Tyflisie.

Reakcyjne czynownictwo w Rosyi, zwłaszcza w guberniach południowych, nie dało za wygrane po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego. Policya, żandarmi i kozacy, te podpory caratu, zerwali się, prawdopodobnie poraz ostatni, aby jeszcze dać uczuć swą władzę rewolucyonistom. Dzicy półazyaci, dla których idea wolności była utopijną ideą „zgniłego zachodu“, jak mawiał oberprokurator św. Synodu i głowa reakcyi w Rosyi Pobiedonoscew, postanowili wytężyć wszystkie siły, aby cara odwrócić od myśli nadania konstytucyi. Nie liczyli się oni z tem, że rozhukanej rzeki rewolucyi nie wstrzyma w pędzie nic, że dla Rosyi nastała już nowa era, że samodzierżawie przeszło już do historyi. Ale jak konający daje drganiami martwiejącego już ciała ostatnie znaki życia, tak i reakcya w Rosyi, widząc usuwającą jej się ziemię pod nogami, jeszcze raz zerwała się do ruchu, aby zamanifestować, że jeszcze żyje i że ma jeszcze grunt pod nogami. Zorganizowano więc w Rosyi kontrrewolucyę, „patryotyczną“, zwróconą wyłącznie przeciw rewolucyonistom, przeciw bojownikom wolności. „Czarne sotnie“ zorganizowane przez policyę, pod ochroną żandarmów i kozaków, poczęły hulać w większych miastach, rabując i niszcząc mienie tych, którzy o wolność walczyli. Na Kaukazie podjudzono Tatarów przeciw rewolucyjnym Ormianom i Kaukaz znowu stanął w płomieniach rewolucyi, a raczej wojny domowej.

W Tyflisie, gdzie antagoizm między Tatarami a Armeńczykami zaznaczył się jaskrawiej niż gdzieindziej, nastały po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego krwawe dni. Policya poczęła urządzać „manifestacye patryotyczne“; noszono narodowe sztandary i portret cara, śpiewano „Boże caria chrani“ poczem demonstranci, pozostający pod ochroną kozaków, rzucali się na domy Ormian, podpalajac je, rozbijając i mordując „buntowników“ bez względu na wiek, nawet kobiety i dzieci. Ormianie, mający broni podostatkiem, bronili się z początku bardzo dzielnie, ale gdy ujrzeli, że policya, zamiast stanąć w ich obronie, pozwala Tatarom na grabież, gdy zobaczyli, że dobytki ich płoną, podpalane zbrodniczą ręką, a szał, ogarniający „czarne sotnie“ z każdą gdziną wzrasta, udali się do gubernatora, z prośbą by im pozwolił wyjechać, to znaczy, by im dał straż wojskową, któraby ich ochroniła przed wściekłością rozszalałych trunkiem i łupami tłumów, podpalaczy i rzezimieszków. Gubernator, który widocznie dość miał już krwi. a może spostrzegł, że rozpasanie przybrało zbyt wielkie rozmiary, dał im na pomoc wojsko.

Na gwałt więc pakowali Ormianie cały swój dobytek na wozy i tłumnie opuszczali miasto, które dymiło zgliszczami popalonych ich świątyń i sadyb. Rabusie, szalejący po mieście, nie śmieli na nich napadać, widząc na wozach żołnierzy, z nabitymi



Z dni grozy w Tyflisie: Ormianie uciekają z miasta, unosząc swój dobytek na wozach, strzeżonych przez wojsko przed wściekłością rabujących Tatarów.

bagnetami. I tak w przeciągu dwóch dni Tyflis prawie zupełnie opustoszał.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina, przedstawia obrazek z dni grozy w Tyflisie, mianowicie, kiedy Ormianie uciekają z miasta, unosząc swój dobytek na wozach, strzeżonych przez wojsko.

Szkoła gospodarstwa domowego.

Ruch emancypacyjny wywalczył kobietom prawo i dostęp do wszelkiego rodzaju sposobów pracy i niema dziś prawie urzędu, niema gałęzi przemysłu czy handlu, gdzieby kobiety nie pracowały. Mimo to i obecnie i po wszystkie z pewnością czasy, najważniejszem i niewątpliwie najodpowiedniejszem dla kobiety polem pracy będzie gospodarstwo domowe, związane ściśle z jej obowiązkami żony i matki. Tymczasem wskutek owych doniosłych zmian społecznych i wychowanie kobiet uległo zasadniczej odmianie. Dziś rodzice dbają przedewszystkiem o to, by córkom swoim zapewnić rychło i łatwy chleb, kształcą je w zakładach naukowych, a pouczanie o obowiązkach, które je czekają w razie zamążpójścia, usuwa się na plan drugi. To też bardzo pożyteczną i zbawienną była myśl, która skłoniła grono osób we Lwowie do założenia tam na większą skalę szkoły gospodarstwa domowego. Szkoła ta została zorganizowaną przez towarzystwo udziałowe „gospodarstwa domowego" i weszła w połowie zeszłego miesiąca w życie.

Przy układaniu planu nauki, nie ograniczyli się inicyatorowie do przedmiotów ściśle i bezpośrednio z gospodarstwem domowem związanych; pamiętano bowiem, że działalność kobiety w obrębie rodziny nietylko na fizyczne zdrowie i byt materyalny tej ostatniej wpływ swój wywiera, lecz że duchowy rozwój młodych pokoleń w wysokim stopniu od tej działalności zależy. W szkole, mającej na celu przygotowanie kobiety do godnego spełnienia doniosłych zadań, jakie ją w domu i rodzinie czekają, nie pominięto tych dziedzin nauki, które się przyczyniają do poznania własnego społeczeństwa, warunków w jakich ono się rozwija, oraz ciążących na jego członkach obowiązków. Stąd obok nauki gotowania, szycia, hygieny, znajdują się w planie szkoły także przedmioty, jak historya i geografia Polski, ekonomia i nauki społeczne.

Plan nauk obejmuje mianowicie trzy grupy: 1. zajęcia czysto gospodarskie, 2. kursa teoretyczne, połączone z ćwiczeniami praktycznemi, wreszcie 3. wykłady i pogadanki. Do zajęć czysto gospodarskich zaliczono zajęcia kuchenne, jak gotowanie i robienie zapasów, dalej szycie, naprawianie, przerabianie, sprzątanie i porządki domowe, pranie i prasowanie, wreszcie rachunki gospodarskie. Kursa teoretyczne, połączone z ćwiczeniami praktycznemi, to chemia, botanika, hygiena i kurs samarytański; wykłady i pogadanki wreszcie będą prowadzone na temat historyi polskiej porozbiorowej, geografii ziem polskich, nauk społecznych i ekonomii, estetyki, oraz obejmują konferencye religijne i śpiew choralny.

Grono nauczycielskie szkoły jest liczne i składa się z sił fachowo wykształconych, zaznajomionych z pokrewnymi zakładami w kraju i zagranicą.

Szkoła gospodarstwa domowego, której lokal mieści się w pięknej kamienicy secesyjnej przy ul. Akademickiej, rozwija się pięknie, frekwencya uczennic, mimo to, że myśl zupełnie nowa, jest stosunkowo znaczna.

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcie fotograficzne z sali szkoły nauk gospodarstwa domowego, w chwili, gdy uczennice zajęte są pracą codzienną pod kierunkiem kilku nauczycielek.



Echa demonstracyi socyalistycznej z ubiegłej niedzieli: Dr. Leon Tomasik, c. k. komisarz policyi.

Echa demonstracyi socyalistycznej z ubiegłej niedzieli.

Jak wspominaliśmy w poprzednim numerze, pobito ciężko i poraniono podczas niedzielnej demonstracyi socyalistycznej, znanego powszechnie w Krakowie i szanowanego komisarza policyi, p. dra Leona Tomasika, który do dziś dnia leży chory.

Komisarz Tomasik to jedna z tych nielicznych osobistości, jeden z tych nielicznych urzędników policyjnych, którzy, pomimo uprzedzenia publiczności do policyi, zdołał sobie w Krakowie pozyskać opinię szlachetnego w całem tego słowa znaczeniu człowieka, dalekiego od wszelkich walk partyjnych, rozumnego urzędnika, który zawsze podczas urzędowania, kierował się przedewszystkiem myślą, że jest przedewszystkiem obywatelem, a nie szedł ślepo za zimną literą prawa. Krakowianin z urodzenia zżył się z naszem miastem, ukochał je całą duszą, znał wszystkie jego potrzeby i braki, znał wszystkich ludzi, budząc prawością swego charakteru i umiejętnością pogodzenia powinności urzędnika policyjnego z powinnościami obywatela, powszechny dla siebie szacunek.

Nieszczęśliwy wypadek, jakiego padł ofiarą podczas niedzielnej demonstracyi socyalistycznej za powszechnem prawem głosowania, wywołał też w całem mieście żywe współczucie dla p. Tomasika.

Chorego p. Tomasika odwiedził w ubiegłym tygodniu namiestnik hr. A. Potocki. Stan zdrowia chorego polepszył się znacznie, ale w każdym razie jeszcze przez dłuższy czas nie będzie mógł p. Tomasik wrócić do służby.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię p. Tomasika.

Jubileusz prezydenta sądu przemyskiego.

Piękną uroczystość obchodził w ubiegłym tygodniu sąd przemyski, prezydent sądu bowiem, p. Ksawery Spławski święcił dziesięcioletni jubileusz jako prezydent tamtejszego trybunału.

P. Spławski zdołał przez czas swoich rządów pozyskać sobie nie tylko wśród sfer sądowych, ale i u ogółu mieszkańców Przemyśla, ogromne poważanie. Odznacza się on bowiem tem właśnie, czem się musi odznaczać wysoki urzędnik, pozostający zwłaszcza na tak wysokiem stanowisku, a mianowicie taktem i umiejętnością pogodzenia serca z zimną literą prawa, to znaczy pozyskiwaniem sobie podwładnych i interesantów. Uroczysty jubileusz, w czasie którego spotkało go ze wszystkich sfer tyle dowodów uznania, będzie z pewnoś-



Fot. M. Munz. Lwów.

Szkoła gospodarstwa domowego: Sala szkolna w chwili, gdy uczennice zajęte są codzienną pracą pod kierunkiem nauczycielek.



Fot. J. Stiny. Dziedzice.
Krwawa tragedya rodziny robotniczej: Komisya sądowo-lekarska przy zwłokach zamordowanych przez Kortę żony i dwóch jego synów.

cią dla p. Spławskiego bodźcem do dalszej energicznej pracy.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się we wspaniale ozdobionej sali rozpraw sądu obwodowego. Wzięli w niej udział wszyscy sędziowie i urzędnicy i pomocnicy sądowi, jakoteż urzędnicy prokuratoryi pod przewodnictwem radcy p. Stebelskiego, oraz delegaci izby adwokackiej i notaryuszy. Imieniem urzędników sądowych przemówił do jubilata wiceprezydent sądu p. Królikowski, który w barwnych słowach skreślił działalność jubilata, podnosząc jego sumienność i gorliwość w pełnieniu obowiązków i ofiarował jubilatowi wspaniałą srebrną etażerkę z żywymi kwiatami, prosząc, by przyjął te parę kwiatów jako dowód żywej miłości całego grona urzędników sądowych.

P. Spławski wzruszony do głębi, w gorących słowach podziękował zgromadzonym za wyrazy przywiązania i zaakcentował sumienność urzędników, na których głównie spada zasługa, że sąd przemyski cieszy się zupełnem uznaniem obywateli. Zaznaczył dalej, że w pracy swojej kierował się zawsze miłością kraju rodzinnego i sprawiedliwością, bez względu na religię, obrządek lub przekonania.

Następnie prokurator p. Stebelski składał jubilatowi życzenia imieniem prokuratoryi państwa, poczem przemówił jeden z pomocników kancelaryjnych, wręczając jubilatowi bukiet żywych kwiatów.

Uroczystość ta wywarła na wszystkich obecnych wielkie wrażenie. Bo też był to rzadki u nas akt oddania hołdu obywatelskiej pracy człowieka, który zajmując tak wysokie stanowisko urzędowe, potrafił nie naraził się ani jednej, ani drugiej narodowości, zamieszkującej Przemyśl i okolicę, ale energią i pracą zdołał pozyskać uznanie wszystkich obywateli.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya, przedstawia grupę uczestników w uroczystości jubileuszowej w sali sądu obwodowego. Prezydent Spławski stoi po lewej stronie bukietu.

Krwawa tragedya rodziny robotniczej.

Niedola, nędza, ustawiczne borykanie się z życiem, praca bez wytchnienia, bez wypoczynku, przytem marnie wynagradzana — oto los dzisiejszego robotnika. Pozbawiony prawie w zupełności możności uświadamiania się, wyzuty z najświętszych praw człowieka, zmuszony z rodziną żywić się jak nie człowiek, ale jak bydło, mieszkający w ciasnych, dusznych norach lub w piwnicach, do których rzadko tylko zagląda słońce, robotnik taki dziczeje, staje się odludkiem, traci wszystkie subtelniejsze uczucia, jakie drzemią w duszy najmniej kulturnego człowieka i powoli stacza się coraz niżej, staje się bardzo często zbrodniarzem i kończy jak zbrodniarz. Smutne to zaiste, ale prawdziwe, gorzka to prawda, ale prawda. Wprawdzie dzisiaj robotnicy już się coraz bardziej organizują, coraz bardziej bronią się przed wyzyskiem, ale ile to jeszcze codziennie rozgrywa się tragedyi robotniczych, ile to jeszcze dzieje się im zła, o tem by dużo można pisać.

Jednostki szlachetniejsze, obdarzone większą inteligencyą, doprowadza nędza i wyzysk, jakiego ofiarą padają na każdym kroku, do zwątpienia, które im bardzo często kładzie w rekę narzędzie samobójcze.

Taka krwawa tragedya robotnicza miała 9 b. m. miejsce w Szczebracu niedaleko Bielska, a ofiarą jej padło sześcioro ludzi.

W Szczebracu mieszkał ubogi robtnik z kopalni węgla, Jan Korta. Po stracie pierwszej żony, która pozostawiła mu troje małych dzieci, ożenił się Korta przed dwoma laty z 18 letnią śliczną dziewczyną, która mu przed 7 miesiącami powiła córkę. Małżeństwo to byłoby bardzo szczęśliwe, bo młoda małżonka była doskonałą, oszczędną i pracowitą gospodynią, gdyby nie nędza, która z dniem każdym wzrastała. Korta był robotnikiem pilnym i pracowitym, ale nie umiał pozyskać sobie łaski przełożonych, wskutek czego często tracił robotę.

Szczególnie nienawidził Korty jeden nadsztygar, który denuncyował go do dyrektora Schmida i szczuciem swojem na biednego robotnika spowodował, iż Korta miał 15 b. m. dostać wypowiedzenie. Ów nadsztygar szykanował również i innych robo-



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Jubileusz prezydenta sądu przemyskiego: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej, zebrani w sali rozpraw sądu obwodowego. Jubilat, p. Ksawery Spławski, po lewej stronie bukietu.

tników i to w ten sposób, że kilkanaście razy groził już strejk w kopalni, a dyrektor nie usunął denuncyanta-podżegacza. Doszło do tego, że przez nieuczciwość takiej marnej kreatury padło ofiarą 6 osób.

Korta, zrozpaczony wypowiedzeniem mu pracy, zwątpił w swoje siły i postanowił raz skończyć. Nie chciał jednak pozostawić młodej żony i dzieci w nędzy, zdecydował się więc na czyn straszny, jaki mu poddała rozpacz: postanowił pozbawić życia całą swoją rodzinę, a w końcu i siebie. Rozpacz dodała mu sił; dokonał, co postanowił.

Przyszedłszy w ubiegły poniedziałek do dom po pracy, przyniósł ze sobą wódki i począł pić, ażeby sobie dodać odwagi. Namówił i żonę do picia, namówił i dzieci, tak, że wszyscy byli wkrótce oszołmieni. Wtedy wyjął rewolwer i celnymi strzałami kładł trupem jedno po drugiem. Najmłodszą córeczkę, Wandę, liczącą dopiero 7 miesięcy, chwycił w rękę, uderzył jej główką o ścianę i złożył ją, umarłą, napowrót w kołysce. Najstarszej córki, 10letniej Klementyny, nie trafił śmiertelnie, tak, że biedaczka męczyła się przez 26 godzin. Synowie 7 letni Józef i 8 letni Grzegórz, oraz żona padli trupem na miejscu. Potem sam wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia.

Denuncyant ów, który był bezpośrednią przyczyną tej krwawej tragedyi robotniczej, dowiedziawszy się, co zrobił Korta, umknął, a dyrektor Schmid podał się natychmiast do dymisyi.

Ilustracye przedstawiają: pierwsza pokój, w którym leżą zwłoki zamordowanej żony i dwóch synów Korty w tej pozycyi, w jakiej je znalazła komisya sądowo-lekarska z lekarzem p. dr. Grossem i sędzią dr. Goldbergiem na czele; druga pokój, w którym znaleziono trupa Korty na ziemi.



Fot. J. Stiny. Dziedzice.

Krwawa tragedya rodziny robotniczej: Morderca żony i czworga dzieci, robotnik w kopalni węgla, Jan Korta, który po wymordowaniu całej rodziny wystrzałem z rewolweru sam sobie życie odebrał.

Anarchia w Kijowie.

Rząd rosyjski zanadto długo przeciągał strunę cierpliwości narodu i zasłużył sobie w zupełności na to, że naród niema doń nawet odrobiny zaufania.

Nie wierzono by nadana konstytucya była faktycznie konstytucyą; spodziewano się, że to jakiś szwindel carski z narodem i Rosya zawrzała jeszcze silniej, jak przedtem, tembardziej, że i konająca reakcya podniosła głowę, powodując nowe rozruchy, skierowane przeciw rewolucyonistom.

Anarchia więc objęła całą Rosyę. Dała się ona szczególniej odczuć w większych miastach, jak Kijów, Odessa, Kazań i Baku. W Kijowie anarchia przybrała szalone rozmiary. Zorganizowane przez rząd bandy rzezimieszków i rozbójników, zaczęły pod płaszczykiem demonstracyi patryotycznych niszczyć, palić, rabować mienie i dobrobyt wszystkich tych, którzy walczyli za nich, którzy życie swe kładli na ołtarzu wolności. Szczególnie nienawiść rozjuszonych tłumów zwróciła się w Kijowie przeciw żydom, których też mordowano bez litości. Gdzie tylko na ulicy pokazał się żyd, padał zaraz pod ciosami morderców, a tłum go rozrywał na kawały. Działy się przytem sceny wprost straszne, dowodzące jeno okropnego zdziczenia tych mas, dla których nareszcie zajaśniało słońce wolności. Sam rząd nie przypuszczał, aby ta „kontrrewolucya“ mogła dojść do takich rozmiarów, zwrócił się więc nareszcie sam przeciw „patryotycznym demonstrantom“ i zgniótł po kilku dniach tę krwawą ruchawkę. Ale podjudzany przez agitatorów reakcyjnych tłum, nie uspokoił się odrazu. Sam gubernator kijowski wiedział o tem, że nawet na niego mogą się rzucić rozzuchwalone bezkarnością tłumy. Ile więc razy wyjeżdżał na miasto, wyjeżdżał zawsze z silną eskortą kozaków i żołnierzy.

Ilustracya nasza, zamieszczona obok, przedstawia gubernatora kijowskiego, objeżdżającego miasto po zgnieceniu anarchii.



Anarchia w Kijowie: Gubernator kijowski po stłumieniu rozruchów antyżydowskich objeżdża miasto otoczony silną eskortą.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J R.

8 (Ciąg dalszy).

Stanąwszy za progiem, hrabia zatrzymał się. Przed Gizelą zakrywały go ciemne portyery. Przetarł czoło ręką, szepcząc:

— Oczarowała całkiem mego biednego przyjaciela, ale ze mną jej nie pójdzie tak łatwo. Bo kto ma takiego anioła piękności, jak ja, tego serce zabezpieczone jest i zahartowane tak, że odbiją się o nie nawet najo trzejsze strzały Amora.

Rozsunął portyery i bez szelestu stanął w salonie. Ona stała przy oknie, patrząc na ulicę. Była wysoka i smukła, wspaniale zbudowana.

— Co za postać—zupełnie jak moja Laura!—szepnął hrabia mimowoli i podszedł ku niej. Odwróciła się od okna i spojrzała na niego. Oczy ich, napozór zimne, spotkały się ze sobą i nagle z piersi obojga wyrwał się głęboki krzyk. Hrabia rzucił się ku niej i objął silnemi ramiony omdlewającą ze wzruszenia — własną żonę.

Zasłona spadła. Hrabia Jan Mironeau poznał teraz, że był małżonkiem Gizeli, córki niewinnie skazanych rodziców. Drżąc na całem ciele, trzymał w objęciach tę żonę, która, do lilii podobna złamanej, opadła bezsilna na jego piersi.

Pod wpływem jego ognistych pocałunków odzyskała jednak wkrótce przytomność i zaledwie otworzyła oczy, podnosząc je na hrabiego, z ust jej wyszły szeptem słowa:

— To ty jesteś tym Cronier'em?

— Tak, ja. Ale po za tym starym kapitalistą, kryje się twój Jan, twój mąż, hrabia Mironeau, który cię gorąco kocha, który cię ubóstwia, ciebie — Gizelo!

Wyrwała się z jego objęć.

— Zasłona spadła — rzekła — i teraz drogi nasze się rozchodzą, aby się nigdy nie skrzyżować!

Szybkim krokiem zwróciła się ku wyjściu. Przy drzwiach jednak zastąpił jej hrabia drogę.

— Nie mówisz tego chyba na seryo, Gizelo! Przecież nie chcesz zdruzgotać mego szczęścia!

— Przeciwnie, mam zamiar uchronić cię od nieszczęścia, jeżeli od ciebie...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał jej hrabia. — Ale powinnaś mnie naprzód wysłuchać, jeżeli mnie chcesz sądzić.

Wziął ją pod rękę i zaprowadził ku sofie, gdzie oboje usiedli. Rozmawiali blisko pół godziny, wreszcie młoda kobieta rzuciła się na piersi swego małżonka i płacząc ze szczęścia, wyrzekła:

— Zasłona spadła i teraz dopiero widzę wyraźnie, jak jestem niewypowiedzianie szczęśliwa!

Takie było zakończenie ich rozmowy po tak niespodziewanem spotkaniu.

X.

Odcięty od stryczka.

Noc była ciemna. Gęste, czarne chmury pokrywały niebo, nie przepuszczając ani promyka gwiazd na cichy, snem zmożony świat.

Drogą, wiodącą przez pustą, niezamieszkałą zupełnie okolicę, wlokła się powoli jakaś kobieta. W lewej ręce miała nieduży węzełek, w drugiej kij. Od czasu do czasu przystawała i zapuszczała wzrok w ciemnię. Jednak, jak daleko tylko dosięgło jej oko, nie widziała nic prócz pól, krzaków i lasu. Naokoło nie było żadnej żyjącej istoty, żadnego ludzkiego mieszkania, ani światełka, które, choćby nawet błyszczało gdzieś bardzo daleko, to jednak byłoby dla niej anielem pocieszenia, bo zwiastowałoby jej, że tam znajdzie jakąś ludzką osadę. Nie ujrzała nic, więc, westchnąwszy głęboko, powlokła się dalej.

Droga prowadziła do lasu. Biedna kobieta jękła głucho: Dalej już nie dojdę! — stanęła, a po chwili skręciła z drogi w bok i zaszyła się w gęstwinę. Znalazła miejsce, otoczone zewsząd drzewami i tam postanowiła przenocować. Było tam mchu i zwiędłych liści pod dostatkiem, tak, że można sobie było przygotować jakie takie posłanie. Węzełek, jaki miała w ręce, zastąpił miejsce poduszki, jak zwykle, jeśli musiała nocować w polu lub w lesie.

Kobieta tą była Teresa Bernere, która, wypędzona od młynarza Materne, błąkała się bez myśli i celu.

Wprawdzie tu i ówdzie znajdowała miejsce, gdzieby mogła była zarobić coś na życie i utrzymanie, ale jak tylko gdzieś się dowiedziano, że ona niedawno wyszła z więzienia po odsiedzeniu kary za współudział w morderstwie, wszędzie pokazywano jej drzwi i musiała się zewsząd wynosić. Nie miała przecie ani książki służbowej, ani żadnych świadectw, ale musiała wszędzie, gdzie znalazła miejsce, pokazywać świadectwo odbytej kary, w którem wyraźnie było powiedziane:

„Z powodu współuczestnictwa w morderstwie skazana na 15 lat ciężkiego więzienia".

Za ste, nieszczególna to rekomendacya. Znaleźli się wprawdzie dobrzy ludzie, którzy mieli ochotę wziąć ją do siebie i dać jej przytułek, ale inni wnet im to wyperswadowali, tak, że zewsząd wypędzano ją jak psa.

I tak na każdym kroku spotykały ją ostre, niesmaczne docinki i uwagi, które jak krople trucizny wpadały w serce nieszczęśliwej. Co tu pomogły wszelkie zapewnienia o jej niewinności? Co pomogły gorzkie łzy, jakie nieraz wylewała? Wyrok sądowy wypalił jej na czole piętno zbrodni i pierwszy lepszy człowiek, z którym się spotkała, czuł się zupełnie uprawnionym do rzucania na nią kamieniem potępienia.

Nadeszła dla nieszczęśliwej znowu jedna noc, którą musiała przepędzić pod gołem niebem, w towarzystwie leśnych zwierząt.

Zaiste, los to godny pożałowania!

Jednak nieszczęśliwa nie złorzeczyła losowi, nie narzekała na niesprawiedliwość boską — ale znosiła krzyż swój w milczeniu, bo czyste sumienie i świadomość jej niewinności dodawała jej sił.

Zanim się położyła, uklękła na ziemi i złożyła ręce do cichej modlitwy, skrapiając ziemię gorącemi łzami. Modlitwę przerwał jej dopiero odgłos zbliżających się coraz bardziej kroków. Wprawdzie w ciemności nie mogła nic widzieć, ale trzask łamiących się suchych gałęzi, rozsypanych po ziemi, utwierdzał ją w przypuszczeniu, że zbliża się jakaś żyjąca istota. Czy to był człowiek, czy zwierzę, tego na razie nie mogła zbadać. Postanowiła się jednak na wszelki wypadek ukryć jak najlepiej. Wzięła więc węzełek i weszła do gęstwiny, jaka otaczała miejsce jej noclegu. Trzask gałęzi stawał się coraz wyraźniejszy, a pani Bernere zaledwie mogła oddychać z trwogi i natężonego oczekiwania tego, co się stać miało.

Wtem doszedł jej uszu krótki, suchy kaszel. A więc to człowiek znajduje się w pobliżu Mógł on być od niej najdalej o trzy kroki oddalony, bo słyszała wyraźnie jego chrapliwy oddech. Naraz stanął i począł chodzić tam i napowrót po małej przestrzeni.

Pani Bernere siedziała z zapartym oddechem. Po chwili usłyszała jak nieznajomy wyrzekł:

— Tak, tutaj dokończę mojego żywota! Boże! Zmiłuj się nad moją biedną duszą!

Pani Bernere serce bić przestało.

— Okropność! — szepnęła — nieszczęśliwy, zdaje się, przyszedł tu z zamiarem odebrania sobie życia!

Czuła, że nie może wobec tego pozostać bezczynną i postanowiła zrobić, co jest w jej mocy, aby samobójstwu przeszkodzić. Wysunęła się z zarośli i grążąc oczy w mrok, zobaczyła jakąś ciemną postać, schyloną obok drzewa.

— Nieszczęśliwy już się powiesił! — krzykła i rzuciła się ku niemu.

Samobójca umocował sznur na dosyć niskiej gałęzi, tak, że musiał uklęknąć, aby módz osiągnąć cel zamierzony.

Pani Bernere chwyciła za pętlę, chcąc ją rozwiązać a przynajmniej rozluźnić. Ale to jej się nie udało; sznur wpił się już w szyję nieszczęśliwego. Spostrzegła, że w ten sposób go nie wyratuje. Nie namyślając się więc, wyciągła z kieszeni nóż i przecięła sznur. Ciało wisielca osunęło się, jak martwa bryła, na ziemię.

Teraz dopiero wzięła się do rozluźnienia pętli, co jej się z łatwością udało. Kiedy to zrobiła, podniosła się, a pierś jej falowała od głębokiego wzruszenia. Rozłożyła ręce i podniosła oczy ku niebu, na którem ukazały sie zrzadka między chmurami gwiazdy.

— Nie zabieraj go jeszcze do siebie, Wszechmocny Panie, nie wołaj go nieprzygotowanego przed Twój sędziowski tron, bo tylko ciężar żywota mógł go pchnąć w otchłanie zwątpienia i skłonił go do podniesienia ręki na własne życie. On nieszczęśliwy, o Panie, i przeto bądź dlań miłosierny!

Uszu jej doszedł cichy jęk. Uklękła więc znowu przy wisielcu. Nieszczęśliwy już oddychał, oczy miał jednak jeszcze zamknięte. Wzruszona patrzała na jego bladą, już zupełnie siwą brodą okrytą twarz.

Gdybyż była mogła czytać lub przynajmniej czuć, co się na tej twarzy, będącej odbiciem duszy, malowało! Ileż walk musiał ten nieszczęśliwy przebyć, zanim zdołał powziąć stanowcze postanowienie odebrania sobie życia w ten sposób. Co go do tego skłoniło? Czy rozczarowanie, jakiego doznał w swem życiu, czy to życie nosiło na sobie plamę zbrodni?

Ale pani Bernere o tem nie myślała. Jej chodziło tylko o to, w jaki sposób ma dokończyć swego dzieła i przywrócić do życia człowieka, który jedną nogą był już na tamtym świecie. I kiedy tak nad tem myślała, nieszczęśliwy otworzył powoli oczy i podniósł wzrok na jej twarz.

Z rysów jego twarzy domyśliła się, że dopiero teraz zaczął przychodzić do przytomności.

— Więc żyję jeszcze? — szepnął.

— Tak, mój przyjacielu — odrzekła. — Godzina pańska jeszcze nie przyszła i pan zanadto się pospieszyłeś.

Mężczyzna westchnął głośno.

— Że też człowiek niema nawet prawa umrzeć wtedy, kiedy chce!

— Nie powinien chcieć — przerwała mu pani Bernere — Bóg nam dał życie i Bóg jeden ma prawo zabrać je wtedy, kiedy mu się podoba.

Nieznajomy milczał. Oparty plecyma o drzewo, na którem chciał umrzeć, siedział ze schyloną na piersiach głową i milczał. Naraz podniósł głowę, rzucił piorunujący wzrok na kobietę i zawołał szorstko:

— Idź pani precz! Zostaw mnie pani samego!

— Nie, ja tu pozostanę. Pan nie masz prawa mnie wypędzać.

— Pani tu już niema nic do roboty!

— O, ba! Ale nie mamy się o co kłócić, mój przyjacielu; ostatnie słowa, jakie chcę panu powiedzieć, są: Nie opuszczę tego miejsca chyba razem z panem.

Słowa te brzmiały taką stanowczością i siłą, że nieznajomy nie miał odwagi się sprzeciwić. Milczał, błądząc wzrokiem po ciemnych zaroślach.

Pani Bernere nie przerywała mu tego milczenia. Wiedziała, że miał o czem myśleć i że te jego myśli nie były z pewnością wesołe. Po chwili wzięła go pod ramię i rzekła:

— Wstań teraz, mój przyjacielu i pójdź ze mną.

— Dokąd?

— Do domu.

— Do pani?

— Nie, do pana.

— Skądże pani wie, że ja mam dom?

— Tak przypuszczam.

— Na jakiej podstawie?

— Człowieka, który jest tak starannie i czysto ubrany, jak pan, z pewnością bieda nie gniecie. Pan ma z pewnością jakiś dach nad głową i nie jest pan tak biedny jak ja, która jestem zmuszona iść od wsi do wsi i cieszyć się, jeżeli na nocleg znajdę suche, od wiatru zasłonięte miejsce, gdzie mogę złożyć na spoczynek znużoną głowę.

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem i współczuciem.

— Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę — rzekła, patrząc nań.

— Dziwna rzecz — odpowiedział z uśmiechem — że pani, będąc tak biedną, nie straciłaś jeszcze chęci ani ochoty do życia.

A po krótkiej chwili dodał:

— Odcięłaś mnie pani od stryczka. Zobaczę, czy się potrafię wywdzięczyć.

Chciał się podnieść, ale udało mu się to dopiero wtedy, kiedy dzielna kobieta mu pomogła. Przez chwilę jeszcze stał oparty o drzewo, potem rzekł:

— Dobra pani! Podaj mi pani ramię i prowadź mnie!

— Z największą chęcią, jeżeli mi pan tylko pokaże drogę, którą pójść mamy.

Zabrała węzełek i wziąwszy go pod ramię, opuściła to niegościnne miejsce, które los przeznaczył na punkt wyjścia ważnych zdarzeń, jakie miały życie ciężko doświadczanej kobiety na nowe zupełnie skierować tory.

Z początku musieli się z trudnością przedzierać przez gęstwiny i zarośla, ale, jak się okazało, mężczyzna znał doskonale drogę, bo szedł stale w jednym kierunku, nie otyerając się wcale. Wreszcie las zaczął się przerzedzać powoli, aż w końcu weszli na pola, na mało uczęszczaną, ale w świetle gwiazd widoczną ścieżkę.

— Daleko jeszcze? — zapytała pani Bernere.

— Za kilka minut będziemy na miejscu.

Tak było w istocie; bo w kilka chwil później wynurzyły się z ciemności zarysy jakiegoś małego budynku, który się wznosił nieco wyżej ponad otaczające go krzaki.

— A więc jesteśmy w domu — rzekł mężczy-

zna, który przez ten czas o tyle przyszedł do sił, że mógł iść sam, bez pomocy.

— Więc pan tutaj mieszka? — zawołała staruszka zdziwiona.

Budynek, jaki przed sobą widziała, zdawał się być za mały, aby w nim mógł kto mieszkać. Mężczyzna uśmiechnął się.

— Pani pewnie myślała, że ja mieszkam w jakim wspaniałym pałacu; ale widzi pani, nawet w tej chatce mogło się do mnie szczęście uśmiechać, gdyby nie...

Przerwał i podszedł ku drzwiom, dodając półgłosem:

— Może kiedy później jeszcze o tem pomówimy.

Pani Bernere przestraszyła się prawie, kiedy weszła do mieszkania i kiedy nieznajomy zapalił lampę. Pokój, w którym się znajdowali, był, chociaż mały, bogato, nawet świetnie umeblowany, z przepychem.

Meble wyściełane, najrozmaitsze sprzęty, raczej do upiększenia mieszkania, jak do użytku służące, jakie się znajdują tylko u bogatych mieszczuchów, lub możnych panów, wypełniały cały pokój, a rozstawione były bardzo umiejętnie i gustownie. Był tam i wielki, drogocenny dywan perski, zaściełający całą podłogę i olbrzymi, również niemałej warści świecznik, zwieszający się od pułapu.

Mężczyzna usiadł we fotelu i patrzał na kobietę, na której twarzy malowało się szczere zdziwienie i pewnego rodzaju obawa. Potem poprosił ją, by usiadła, co ona też uczyniła.

— Nie jestem biednym, ale przy mojem bogactwie nie jestem też szczęśliwy — rozpoczął zdławionym głosem.

— Istnieje pozorne szczęście, które nie zadowolni szlachetnego serca — odrzekła kobieta. — Prawdziwe szczęście musi człowiek nosić sam w swem własnem sercu.

Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się w jednej chwili.

— Tak, tak, ma pani racyę — tylko w własnem sercu jest prawdziwe szczęście; wszystko inne to tylko złuda i umęczenie dla duszy.

— Żył pan tutaj zanadto osamotniony i dlatego popadł pan w zwątpienie. Bo człowiek jest stworzony do życia towarzyskiego, dla ludzi.

Mężczyzna zrobił nagle ręką ruch zaprzeczający.

— Ludzie właśnie zrobili mnie nieszczęśliwym i dlatego uciekłem do tej samotni. Miałem nadzieję, że zdala od ludzi zdołam odzyskać utracony spokój.

— Nadzieja jednak okazała się złudzeniem, nie prawdaż?

— Niestety!

— Nie masz pan żadnych krewnych ani przyjaciół, z którymi obcowanie zawsze wpływa kojąco na duszę zwątpieniem dręczoną?

Potrząsł głową.

— Nie mam nikogo, nikogo na całym świecie.

— Więc pan tak żyje sam jeden? — Biedny pan jesteś!

On podparł głowę rękoma i utkwił wzrok w podłodze.

W umyśle kobiety poczęło się naraz budzić podejrzenie, że w życiu tego człowieka zawartą być musi jakaś tajemnica, z której dopiero ręka śmierci zdoła odsunąć zasłonę.

— Czy mogę zapytać, jak się pan nazywa? — zapytała, chcąc myśli jego zwrócić w inną stronę.

— Niech mnie pani nazywa Fryderykiem — odparł, podnosząc wzrok w górę.

— Ja się nazywam Marya Renault — rzekła, gdyż na chrzcie otrzymała imiona Teresa Marya.

Przedstawiwszy się sobie w ten sposób, uczuli, że są jakby jacyś bliżs sobie i nieświadomie prawie podali sobie ęce.

Potem kobieta podniosła się i rzekła:

— Nie będę panu przeszkadzać — niech pan idzie spać a Bóg wszechmocny niech pieczę nad panem obejmie.

Fryderyk wstał nagle.

— Jakto, pani chce odejść? Chce mnie pani zostawić samego?

— Muszę przecież...

— Nie, nie musi pani i nie odejdzie pani stąd teraz, w tej godzinie.

Wziął ją za ramię i delikatnie usadowił znowu we fotelu. Potem wyszedł z pokoju, ale po chwilce powrócił.

— Przynoszę pani posiłek — rzekł, stawiając na stole tacę z rozmaitemi zimnemi przekąskami. Ze szafki wyjął butelkę wina i dwie szklanki, które napełnił i trącając się z nią, rzekł:

— Oby nasza przyjaźń była jak najdłuższą!

— Daj Boże!

Wypróżnili oboje niezbyt duże szklanki. Pani Bernere zaspokoiła potem głód. Towarzysz jej nie miał wcale apetytu do jedzenia. Siedział w milczeniu, na pytania odpowiadał jeno półsłówkami. Pani Bernere usiłowała go rozerwać, ale usiłowania jej spełzły na niczem.

Wreszcie Fryderyk podał jej klucz i rzekł:

— Jak pani wyjdzie do sieni, zobaczy pani na prawo drzwi. Niech je pani tym kluczem otworzy. Znajdzie tam pani wszystko, czego pani potrzeba na nocleg.

Życzył jej dobrej nocy i skierował swe kroki ku bocznym drzwiom, przed któremi stanął zamyślony. Potem powrócił jeszcze, chwycił jej rękę i rzekł:

— Niech pani uderzy, pani Renault! Tak! Na zgodę!

Uczyniła to.

— Teraz już jestem spokojny. Przez to uderzenie dłoni zobowiązałaś się pani nie uciec stąd i pozostać tutaj. Dobrze?

— Pozostanę, panie Fryderyku!

— Tylko przez tę noc?



...Ciało wisielca osunęło się, jak martwa bryła, na ziemię.

— Tak długo jak pan zechcesz.

— Dziękuję pani.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował ją.

Kiedy się odwrócił, łzy błyszczały w jego oczach. Zdawało się, że ma zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł i szybko oddalił się do swego pokoju.

Pani Bernere patrzała chwilę na drzwi, za którymi on znikł.

— Mój Boże, ta twarz — czy ja jej kiedyś gdzieś nie widziałam? Jeżeli nie, to w każdym razie jest on ogromnie podobny do kogoś, kogo przedtem dobrze znałam.

Ale nie łamała sobie nad tem dłużej głowy i udała się na spoczynek.

XI.

Odwiedziny.

Pani Bernere obudziła się bardzo wcześnie. Pierwsze promienie słońca, wpadając do pokoju, rozjaśniły to małe, ale wygodne asylum, w którem przepędziła noc. Pokoik był bardzo bogato umeblowany, a tak czyściutki, że ją samą podziw ogarniał.

Gdyby tak mogła pozostać tutaj na zawsze — pan Fryderyk nawet życzył sobie tego — nędza jej nareszcieby się skończyła. Chociaż jednak starała się zapomnieć o zdarzeniach dnia wczorajszego, to jednak myśli jej były niemi ciągle zajęte i zaciemniały jej pogodny pogląd na przyszłość. Bo też przestrachem napełniała ją myśl wspólnego pożycia pod jednym dachem z człowiekiem, który chciał skończyć samobójczą śmiercią, którego ona od stryczka odcięła.

Wyszła ze swego pokoju do sieni. Zdawało jej się, że słyszy jakieś ciche jęki, dolatujące z izby, w której spał Fryderyk. Przestraszyła się. Czyżby Fryderyk zachorował?

Nie namyślając się długo, weszła do izby. Fryderyk leżał z rozognioną twarzą; oczy mu błyszczały gorączkowym ogniem, a pierś jego podnosiła się ciężko, z trudem chwytając powietrze.

Podeszła do łóżka i chwyciła jego rozpaloną rękę.

— Pan jest chory, panie Fryderyku. Może pójść po lekarza?

Pot ząsł głową.

— Ale choroba, zdaje mi się, jest poważna i...

— I żaden lekarz na nią niema lekarstwa — przerwał jej bezdźwięcznym głosem. — Podajmi pani wody, pragnienie mnie pali.

Spełniła jego rozkaz. Chory podniósł się i pił chciwie, potem głowa mu opadła znów na poduszki.

— Cóż teraz będzie? — szepnęła. — Najlepiej zawołać doktora.

— Nie, nie! — krzyknął chory. — Może później — dodał po chwili, zdaje się po to tylko, ażeby się jej nie sprzeciwiać.

— Więc pan nie spał tej nocy zupełnie?

— Nie. Spałem kilka godzin i dopiero o świcie obudziłem się z szalonym bólem głowy i gorączką.

— To znaczy, że pan ma febrę. Gdyby lekarz przyszedł, to łatwo dałoby się zapobiedz złemu.

Poprosiła go, ażeby jej wskazał, gdzie może znaleźć stare jakie lniane szmaty. Znalazłszy je, przyniosła zimnej wody i zrobiła mu zimny okład. Przygotowała również limoniadę, podając ją choremu zamiast wody. Przez kilka godzin krzątała się tak koło chorego, pragnąc mu ulżyć w cierpieniu. Dopiero, kiedy ujrzała, że mu już rzeczywiście lepiej, że go wreszcie sen zmorzył, odeszła, aby się nieco posilić.

Chory spał kilka godzin Obudził się dopiero około trzeciej popołudniu. Wzrok jego padł odrazu na panią Bernere, która siedziała u jego nóg. Pochwycił nagle jej rękę i przycisnął ją do spieczonych gorączką ust.

— Co pan robi, panie Fryderyku! — krzykła, wyrywając rękę.

— Pozwól mi pani zatrzymać w mej dłoni tę rękę, która tak litościwie mną się opiekuje — ozwał się chory, a głos jego drżał od głębokiego wzruszenia.

— Czujesz się pan zdrowszy?

— O tak — znacznie zdrowszy; zdaje mi się, żem się na nowo urodził — odrzekł z uśmiechem.

— To chyba cud...

— Tak, cud, cud zdziałany przez panią, przez jej szlachetną, pełną poświęcenia litość.

— Proszę tylko nie przesadzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przeniesienie komendanta korpusu lwowskiego.

Przed paru dniami przyniosły dzienniki ważną a zupełnie niespodziewaną wiadomość o przeniesieniu komendanta XI. korpusu i generała komenderującego we Lwowie, zbrojmistrza Ferdynanda Fiedlera na stanowisko komendanta II. korpusu we Wiedniu.

Zbrojmistrz Ferdynand Fiedler urodził się w Ołomuńcu w roku 1842, ukończył z odznaczeniem szkoły średnie a następnie akademię wojskową w Wiener-Neustadt, skąd wyszedł jako zastępca podporu znika w 1 batalionie pionierów. Następnie kształcił się dalej w szkole wojennej, a po jej ukończeniu został przydzielony do sztabu generalnego. Awansując bardzo szybko doszedł w r. 1862 do rangi kapitana i jako taki odbył kampanię z 1866 r., przyczem zaszczytnie się odznaczył i otrzymał wojskowy krzyż zasługi w uznaniu dzielności. W trzy lata później powołany został do ministeryum wojny, poczem w r. 1871 przydzielono go do 35 pp., a w r. 1873 przeszedł na etat szkoły wojennej w charakterze docenta te szkoły. W owym też czasie został mianowany majorem a niedługo potem podpułkownikiem generalnego sztabu oraz otrzymał order Żelaznej Korony III. kl. Już w r. 1882 został posunięty do rangi pułkownika a następnego roku objął komendę pułku 65 piechoty. W r. 1884 został szefem biura prac operacyjnych sztabu generalnego, w cztery lata zaś później generał-majorem i komendantem 11 brygady pieszej w Gracu, oraz otrzymał order Żelaznej Korony II. kl. Stamtąd został wnet potem przeniesiony do Linzu i w charakterze generał- porucznika objął komendę 11 dywizyi pieszej. W r. 1898 otrzymał krzyż kawalerski orderu Leopolda a równocześnie został mianowany komendantem XI. korpusu we Lwowie; ot zymał też w tymsamym czasie godność tajnego radcy i właściciela 30 pp. (lwowskiego). Rok 1899 przyniósł nominacyę Fiedlera na generała broni, rok następny zaś order wielką Żelaznej Korony I. kl. Ponadto jest generał Fiedler w posiadaniu król. pruskich orderów Orła i Korony, jakoteż ces. rosyjskiego orderu św. Anny. Obecnie przeniesiony na stanowisko komenderującego Wiednia, opuścił w ubiegłą sobotę miasto Lwów, w którem przez lat ośm przebywał.



Przeniesienie komendanta korpusu lwowskiego: Dotychczasowy komendant korpusu lwowskiego gen. broni Ferdynand Fiedler.

Przeniesienie generała broni Fiedlera ze Lwowa, przeszło w tem mieście bez większego wrażenia. Generał ten był wprawdzie człowiekiem wysokiej kultury, wobec ludności cywilnej zachowywał się zupełnie poprawnie, nie mniej jednak jako Niemiec, nam zupełnie obcy, nie mógł pozyskać sobie jakichś szczególniejszych sympatyj.

* * *

W dzisiejszym numerze podajemy portret zbrojmistrza gen. Fiedlera.

Jubileusz pracy.

Na polu przemysłu kraj nasz pozostał daleko w tyle po za innymi. Nie mamy w Galicyi ani większych fabryk, ani jednego centrum prawdziwie przemysłowego, z wyjątkiem może kopalni nafty w Borysławiu i Schodnicy. Rzadkością jest więc u nas, jeżeli ktoś obchodzi jubileusz swej pracy na polu przemysłu kraj wego. Taki jubileusz obchodził w ubiegłym tygodniu w Brodach p. Teich, główny buchalter w zakładzie szczeciniarskim p. Bałabana.

Brody, mała mieścina na północ od Lwowa, zamieszkana prawie wyłącznie przez żydów, były do roku 1889 miastem wolnem i jako takie rozwijało się bardzo ładnie; rósł w niem handel i przemysł. Gdy we wspomnianym roku uchwałą rady państwa odebrano Brodom prawo wolnego miasta, wszyscy więksi przemysłowcy, wszyscy bogatsi ludzie opuścili Brody, udając się po większej części do Lwowa. Pozostało zaledwie kilka rodzin bogatszych, które wzięły się energicznie do pracy i przyczyniły się do powstania nowego przemysłu, któryby dawał ludności uczciwy zarobek i ochraniał je w ten sposób od nędzy. Powstał wtedy w Brodach przemysł czyszczenia włosieni i piór. Przemysł ten rozwinął się w krótkim czasie i zatrudnia dziś setki dziewcząt z miasta i okolicy. Inspektor przemysłowy, oraz dyrektor Ligi pomocy przemysłowej p. Olszewski, zwiedzając zakłady szczeciniarskie w Brodach, wyrazili się o nich z największem uznaniem. Główną zasługę około stworzenia i rozwoju tego przemysłu przypisać należy pp. Bałabanowi i Morerowi.

Dzielnym pomocnikiem p. Bałabana w tej tak chlubnej i pożytecznej pracy, był główny buchalter p. Teich, który onegdaj obchodził dwudziestopięcioletni jubileusz swej pracy u p. Bałabana. Jubilatowi składali życzenia wszyscy urzędnicy fabryczni, oraz robotnicy i robotnice. P. Teich zdołał sobie bowiem długoletnią pracą pozyskać powszechne uznanie i szacunek.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię, przedstawiającą p. Bałabana i jubilata p. Teicha w gronie starszych szczeciniarzy, zatrudnionych u p. Bałabana.



Jubileusz pracy: P. Bałaban, właściciel fabryki oraz jubilat, p. Teich, w gronie starszych szczeciniarzy, zatrudnionych u p. Bałabana. Fot. Buxdorf. Brody

Nowy komendat korpusu lwowskiego.

Stanowisko komendanta korpusu jest nie tyle zaszczytne, ile ogromnie odpowiedzialne. Od taktu bowiem, inteligencyi i sprytu komendanta, zależy prawie wyłącznie, utrzymanie dobrych stosunków między ludnością cywilną a wojskowymi, a na tej baczności zależy tak jednej, jak i drugiej stronie.

Na innem miejscu piszemy o ustąpieniu komendanta korpusu lwowskiego, generała broni p. Fiedlera. Następcą jego mianowany został generał-porucznik Rudolf Brudermann.

Nowy komendat lwowskiego korpusu jest synem zmarłego w roku 1858 generał-majora Rudolfa Brudermanna. Urodził się 9 stycznia 1851 roku w Gyöngyös. Studya odbywał w hainburskiej szkole kadetów i w akademii wojskowej w Wiener Neustadt. W roku 1864 wstąpił jako podporucznik do 11 pułku ułanów, w pięć lat później awansował na porucznika i przydzielony został do sztabu generalnego.

Mianowany w roku 1877 kapitanem I. kl. wystąpił w kwietniu następnego roku z czynnej służby i wcielony został do rezerwy 2 pułku ułanów. Reaktywowany i przydzielony do 1 pułku ułanów w r. 1879, był następnie nauczycielem w kawaleryjskiej szkole kadeckiej w Weiskirchen. W roku 1885 wstąpił jako major do czynnej służby w 14 pułku dragonów, a w sześć lat później objął komendę tego pułku. W roku 1896 odznaczony został orderem Żelaznej Korony III. kl., poczem wkrótce oddano mu komendę 15 brygady kawaleryi w Tarnopolu. W rok później mianowany został generał-majorem, a w r. 1900 powierzono mu komendę dywizyi kawalerskiej w Krakowie.

Na tem stanowisku pozyskał sobie uznanie i sympatyę tak wojskowych, jak i ludności; w r. 1901 otrzymał nominacyę na generał-porucznika i krzyż kawalerski orderu Leopolda. Wreszcie przydzielony został do generalnego inspektoratu kawaleryi, na którem to stanowisku dotąd pozostawał.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze portret generała Brudermanna.



Fot. J. Sebald, Kraków.
Nowy komendant korpusu lwowskiego: Gen. Rudolf Brudermann.

Z przeszłości Lwowa.

Rosnący szybko Lwów wymaga dla swego rozwoju coraz więcej miejsca. Padają więc jedne za drugą stare, odwieczne budowle, robiąc miejsce okazałym, nowoczesnym gmachom, znikają ogrody ze swemi drzewami, a na ich miejsce wznoszą się wspaniałe kamienice. I zdarza się bardzo często, że przy kopaniu fundamentów pod nowe budynki odnajdują robotnicy głęboko w ziemi zakopane szkielety ludzkie, resztki broni, rozmaite przedmioty metalowe i kamienne. Wszystko to są pamiątki z dawnych, świetnych czasów stolicy Czerwonej Rusi, z owych czasów, kiedy Lwów i jego dzielne, patryotyczne mieszczaństwo osłaniało resztę Polski przed napadami Turków, Tatarów i Kozaków.

Jedną z ostatnio odkrytych pamiątek z przeszłości Lwowa jest reszta dawnego wału fortecznego. Odsłonięto go przed kilku tygodniami, gdy zburzono dwie kamienice przy ulicy Akademickiej i przylegającą do nich kamienicę przy ulicy Batorego. Ukazało się wówczas na odsłoniętej przestrzeni, na podwórzach zwalonych kamienic, wielkie rumowisko, wysoki nasyp ziemny, biegnący w poprzek, w kierunku do ulicy Kamiennej a w jego wnętrzu głębokie, sklepione piwnice o dwu kondygnacyach, zapadłe w głąb ziemi.

Wał forteczny, którego część nieznaczną odkryto, ma swoją niezwykłą i interesującą przeszłość historyczną. Powstał on mianowi ie w pierwszej połowie XVII. wieku, za rządów króla Władysława IV., który na usilne prośby przedmieszczan, podjął myśl obwarowania przedmieścia halickiego. Przedmieszczanie haliccy, przyczyniający się szarwarkami do budowy i opatrzenia fortyfikacyi miejskich, a nie mający z tych fortyfikacyi żadnego w razie napadu nieprzyjaciół pożytku, powzięli myśl utworzenia ze swego przedmieścia drugiego miasta, ufortyfikowanego podobnie jak n. p. Kazimierz pod Krakowem. Już Zygmunt III. mimo opozycyi Lwowa popierał te dążenia przedmieszczan, plany jednak, wówczas wygotowane, nie zostały z powodu swej niepraktyczności wykonane. Dopiero ponowione za panowania Władysława IV. starania przedmieszczan halickich odniosły pomyślny dla nich skutek i wzniesiono wówczas na niedużej przestrzeni obronne wały.

Wały te, a przedewszystkiem odsłonięta obecnie ich resztka, mają swoją krwawą i bohaterską przeszłość. Tuż obok bowiem, tam gdzie dziś sąd karny i gimnazyum Franciszka Józefa, znajdował się klasztor Karmelitów trzewiczkowych, w którym, w czasie pierwszego oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego w r. 1648 wielu przedmieszczan szukało schronienia. Klasztor został zdobyty i wszyscy mnisi oraz ukryci tam przedmieszczanie, po bohaterskiej, pełnej poświęcenia walce, legli wymordowani przez dzikie żołdactwo Chmielnickiego. Na owym zaś skrawku wału u zbiegu ulic Kamiennej i Batorego, stoczono wówczas ogromnie zaciekłą walkę, w której legło tysiące kozaków i tatarów.

Krwawe te wspomnienia odżyły obecnie w pamięci Lwowa tem bardziej, że w miesiącu bieżącym przypadła 250 rocznica oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego i rocznicę tę z inicyatywy archiwaryusza m. Lwowa dra Czołowskiego uroczyście ubiegłej soboty obchodzono. W odczycie, wygłoszonym w dniu owym, przedstawił dr. Czołowski zajmującą historyę obu oblężeń, a jeszcze więcej szczegółów o tem zawiera pięknie napisana przez p. Franciszka Jaworskiego broszurka, rozdana na pamiątkę obchodu bezpłatnie między ludność Lwowa.



Z przeszłości Lwowa: Resztki wałów przy ul. Batorego i Akademickiej. Fot. M. Münz, Lwów.

Plotki lwowskie.

Tramwaj na cały Lwów. – Nie będzie długów urzędniczych. – Arcydzieło trwałości, — Tani opał, który jest a którego nie ma. – Co ja widzę przez moje okno. — Wstrzemięźliwość nieba a jego nieoględność. — Uniwersytet lwowski podparty patykami. – Dlaczego nasi słuchacze są spokojni. – Parkan uniwersytecki. – Wieża ratuszowa a wiatry w interpelacyach radzieckich – Różne wiatry. – Propinatorowie posłami. — Owacya dla ks. Stojałowskiego. – Zanik odwagi cywilnej – Boże przebacz im, bo nie wiedzą co czynią. – Spór między Gallem a Grąbczewskim. — Skromna uwaga. – Pan radca, który się zapomina. – Czem się pan radca upił?

Nastają dobre czasy. Cały Lwów, jak jest długi i szeroki, otrzyma nową, daleko rozgałęzioną sieć tramwaju elektrycznego, a odnośne plany już są nawet na ukończeniu. Nie będzie we Lwowie jednej choćby najdalszej ulicy bez tramwaju, a utyskiwania tych, którzy mieszkają zdala od śródmieścia, skończą się nareszcie. Tylko, że to wszystko nie nastąpi jeszcze w tym roku, ani w przyszłym, ani za lat pięć, dziesięć, dwadzieścia... Bo to są dopiero plany, a prawnukowie naszych wnukow powinniby się już dziś cieszyć, gdyby żyli. Ale ich jeszcze nie ma i tramwajów jeszcze nie ma, więc nam wypada na razie zanotować plany, jako dobrą wolę lwowskich bogów tramwajowych i cieszyć się, że to może przecież kiedyś nastąpi, jeżeli tymczasem jakiś śmiały Edison nie wynajdzie balonów do sterowania.

Taksamo zabraliśmy się raźno do innej sprawy piekącej, mianowicie do długów urzędników państwowych. Jak wiadomo, są w Galicyi jeszcze niektórzy urzędnicy zadłużeni. Zauważył to w swoim czasie namiestnik hr. Potocki, a nawet podobno wytknął sobie, jako jedno z pierwszych zadań, skonwertowanie długów urzędniczych. Nie można się dziwić, że największy może magnat w Galicyi chciał mieć urzędników niezadłużonych i powiedział sobie, że tak długo nie spocznie, dopóki nie zobaczy koguta w garnku każdej rodziny urzędniczej. Myśl była bardzo chwalebna i wszyscy oczekiwaliśmy z niecierpliwością tego poranku, kiedy obudzimy się bez długów, bez kondyktów, egzekucyi, licytacyi, przysięgi manifestacyjnej i innych pobocznych zajęć austryackiego urzędnika państwowego. Przekonał się jednak p. namiestnik, że najlepiej tej sprawy nie ruszać, bo gdyby nawet cała swoją olbrzymią fortunę poświęcił, a nadto porozbijał wszystkie istniejące w Galicyi banki, to wszystkie te pieniądze, razem wzięte, nie pokryją długów galicyjskich urzędników państwowych. Długi te stanowią nie dzieło, ale arcydzieło, na które w szeregu lat złożyły się setki tysięcy rąk i głów, bogate w takie mnóstwo pomysłów, że żaden ustawodawca ani we śnie o tem nie marzył, a zbudowane tak silnie, że nie ruszy go z miejsca żadna moc ludzka, choćby z p. Cyganiewiczem na czele. Takich dzieł mozolnie zbudowanych nie obala się jednym zamachem — powiedział sobie p. namiestnik i przestał zaglądać do garnków rodzin urzędniczych, gdzie zamiast koguta gotują się kiełbaski z koni tramwajowych, emerytowanych dzięki magistratowi zwalczającemu dzielnie drożyznę mięsa szlachetnego.

Tak skończyły się dobre chęci p. Potockiego pozornie na niczem, ale dały inicyatywę do dalszej akcyi, teraz jeszcze bardziej potrzebnej. Urzędnicy bowiem na wiadomość o zamierzonej konwersyi długów wykorzystali do reszty źródła kredytu i pozaciągali zupełnie nowe pożyczki. Na jednym wyjdzie — kalkulowali sobie — czy skonwertuje się potem tysiąc, czy dwa tysiące koron. Zabrali się więc sami do obmyślenia wyjścia i oto zjeżdżają się radzić... Najlepiej byłoby posunąć kalendarz o dziesięć lat naprzód i kazać sobie wypłacić pensyę za cały czas przesunięty. Wielu, wielu urzędników żyje za te pieniądze, które dopiero po dziesięciu latach kasy państwowe będą miały wypłacić...

Niezależnie od tego magistrat ogłasza, że tzw. taniego opału miejskiego aż do odmiennego zarządzenia nie będzie się sprzedawać na zamówienie pisemne. Pozostaje zatem czekać, aż pachołkowie magistraccy pojawią się na ulicy. Mieszkam prawie w śródmieściu (Pańska 11), mam mieszkanie frontowe, często stoję przy oknie i widziałem już na mojej ulicy prezydenta Michalskiego, ekspresydenta Małachowskiego, wiceprezydentów dra Rutowskiego i Ciuchcińskiego, widziałem już prawie wszystkich radnych i urzędników magistratu, egzekutorów, żandarmów, muzykę wojskową, niezliczoną ilość pogrzebów, straż pożarną, artystki teatru miejskiego, wóz ratunkowy, wojsko, karawaniarzy, posłów sejmowych, studentów węgierskich, szacha perskiego ze świtą — ale wozu magistrackiego z tanim opałem miejskim naprawdę jeszcze nigdy nie widziałem na „mojej“ ulicy. Przypuszczałbym, że w magistracie dowiedzieli się, przy której ulicy mieszkam i z rozmysłu zakazano tam wysyłać wozy z tanim opałem, abym się nie zagrzał zbytnio tanio i po magistracku, ale słyszałem od wielu innych, w najlepszej zgodzie żyjących z magistratem, że i oni napróżno wyglądają całemi godzinami na magistracki wóz ratunkowy z tanim opałem miejskim.

Samo nieba zauważyły już tę lekkomyślność lwowskiego magistratu i wstrzymały się z wysłaniem swoich mrozów na ziemię ludzką, pomimo, że druga połowa listopada się kończy, a grudzień za pasem. Ale i niebo jest przy całej swej łaskawości i wstrzemięźliwości troche nieoględne, bo nie pamięta, że Lwów nie tylko na mrozy, ale nawet na deszcz lub wiatry nie jest jeszcze dostatecznie przygotowany. I tak lekki wietrzyk w zeszłym tygodniu sprawił, że największa w mieście instytucya szkolna, bo sam uniwersytet, omal nie runął, przyczem wiele osób byłoby życie złożyło w ofierze — nauce. Na szczęście zauważyli to murarze, rozpędzili studentów i podparli uniwersytet lwowski patykami. Mamy więc teraz podparty, a więc jako tako bezpieczny uniwersytet, ale... ale tylko do czasu, aż znów nie zawieje silniejszy wietrzyk. Senat podobno uchwalił zbudować dookoła gmachu uniwersyteckiego bardzo wysoki parkan z desek, któryby go chronił przed wiatrami, balonami i piłkami dzieci, bawiących się w pobliskim ogrodzie botanicznym. Na szczęście nasi słuchacze są spokojni, nie walczą i nie wyrzucają się z gmachu. A może to właśnie dzięki starej ruderze uniwersyteckiej studenci nie wszczynają tam żadnych sporów z obawy, ażeby niebacznem poptracem kolegi nie zawalić gmachu. Tak, czy owak — dobrze jest, bo już zaradzono niebezpieczeństwu.

Natomiast z ratuszem nic jeszcze nie zrobiliśmy, bo wiatr wiał dość daleko, aż na ul. św. Mikołaja. Gdyby jednak najbliższy wiatr zerwał wieżę ratuszową, albo wyrwał z rynku cały ratusz z korzeniami, to prezydent zwoła nadzwyczajne posiedzenie rady, na którem radny Czarnecki ze znaną swadą wniesie interpelacyę, co też prezydum zamierza uczynić, ażeby wstrzymać znane z zuchwałości wiatry lwowskie, dla których niema nic świętego, podobnie jak dla policyi, przyczem p. radny zastrzeże się jaknajkategoryczniej po raz setny i któryś, że sprzeciwia się stanowczo założeniu jatek miejskich.

Pan prezydent odpowie bez przygotowania, że nad tą sprawą już pomyślał, polecił ją zbadać komisyi teatralnej i budowniczej, zaś co do wiatrów to powinien p. radny Czarnecki jaśniej się wyrażać, bo nie można wiedzieć, czy chodzi tu o wiatry atmosferyczne, czy polityczne, czy też wiatry miejskie, pospolite które wieją w lwowskiej radzie miejskiej. Jak wiadomo, to i tu wieją różne wiatry, stosownie do partyi, do jakiej kto się przyznawać musi.

Niejeden bowiem nie chciałby należeć do stronnictwa, do któ ego należy z konieczności. Wyliczać tych wszystkich byłoby zbytecznem, bo każdy ich zna, a potem byłoby to niedelikatnością. Wszak nawet poseł Stapiński onegdaj w sejmie wytłómaczył zagadkę ustaw propinacyjnych tem, że zasiada w tym sejmie kilkudziesięciu wielkich propinatorów, a nazwisk ich nie wymienił z tego samego powodu. Znamy ich.. Na co jeszcze owacyjnie wywoływać ich po imieniu.

Inną owacyę urządzono onegdaj ks. Stojałowskiemu w kawiarni kryształowej. Ksiądz prałat niebacznie wpadł w istne gniazdo smocze według swego rozumienia. Wdepnął bowiem do kawiarni, gdzie gromadzą się żydzi, żydówki, a co najgorsze — socyaliści. A może to uczynił z rozmysłu, w myśl sentencyi, że nieprzyjaciela należy poznać z bliska. Trzeba przytem pamiętać, że historyczna postać księdza Stojałowskiego miała już czas i powód urość w wyobraźni nawet wrogów jego do rangi legendarnej figury. Socyalistom, wiecującym w kawiarni kryształowej, ani przez myśl może nie przyszło, by kiedy mogli tak blisko, tak „familiarnie“ oglądać księdza prałata, ciskającego swoje pioruny polityczne z mownicy sejmowej lub przedwyborczej, albo z poza płota swoich organów, by go mogli teraz widzieć tu, przy sąsiednim stoliku, przy czarnej, o sześć krotów od mizdrzącej się do gości kasyerki i podziwiać tego męża *„wie er sich räuspert und wie er spuckt“*...

Czy można się dziwić, że jakoś odruchowo, instynktownie powitali go gromkiem „hurra“, „niech żyje“ (e-pcich!) ksiądz lampiarz itd..

Ale ks. Stojałowski postarzał się, stracił odwagę cywilną... Zamiast wyleźć na pierwszy lepszy stół, stanąć między ciastkami i wygłosić płomienną mowę polityczną, ażeby zamknąć usta całej kawiarni razem z kasyerką i kelnerami, rzekł sobie pobożnie: „Boże, przebacz im, albowiem nie wiedzą co czynią“ i wyszedł z kawiarni, nie chcąc warcholić się z tymi, „którzy nie wiedzą, co czynią“...

Inny spór — jeżeli tamto zajście sporem nazwać można — wyniknął między Janem Gallem a dyrektorem opery Grąbczewskim. Kim jest p. Gall, wie chyba każdy. Pomimo, że jesteśmy Abderą, Pipidówką, Pacanowem — jak kto woli — Galla, jako pieśniarza, jako profesora, jako znakomitego znawcę muzyki, nietylko szanujemy, ale uwielbiamy wszyscy. Gall pisuje recenzye muzyczne w „Nowym Wieku“. Sam tak bardzo popularnym będąc, wybrał popularny dziennik, czytany dziś zresztą przez wszystkich. Rzecz prosta, że wolno mu otwarcie wypowiadać swoje zdanie, pod którem zresztą kładzie swoje imię i nazwisko. Nie podobało się to p. Grąbczewskiemu, że Gall otwarcie zganił bez zastrzeżeń kilka przedstawień opery obecnej, a nawet pozwolił sobie napisać do recenzenta list w tonie, jak sam Gall powiada, bardzo grzecznym, tj. pseudopoważnym, w którym proponuje Gallowi objęcie dyrekcyi opery lwowskiej... To już są drwiny, które, co prawda, nie są żadnym paradoksem, bo moglibyśmy i wolelibyśmy widzieć Galla dyrektorem opery, choć sam tego nie chce, ale drwiny w zamiarze... Pan Grąbczewski chciał tu zadrwić z Galla, a choć p. Grąbczewskiego nie znam wcale, to jednak pozwolę sobie zrobić mu skromną uwagę, że są we Lwowie osoby, z których drwić nie wolno, bo ich zasługi, ich mir i popularność na to nie pozwalają, czyniąc ich nietykalnymi, a drwinami, skierowanemi w stronę takich osób, obraża się nie tego, którego dotknąć nie jest się w możności, ale całe otoczenie, złożone z tysięcy wielbicieli gorących i szczerych...

Że żaden dziennik lwowski nie ujął się za szanownym profesorem, to tylko świadczy o tem, jak bardzo zasługujemy na nazwę Abdery, ale mimo to wątpię, czy znajdzie się ktoś we Lwowie, ktoby pochwalił czyn p. Grąbczewskiego. Sumienny recenzent, jakim chyba jest Jan Gall, dokładnie rozważa, jak ma ocenić daną rzecz, a po napisaniu nic więcej wiedzieć nie chce, jak kto przyjmie jego ocenę i co na nią odpowie listownie...

Gdybyśmy mieli pozwolić na taką korespondencyę, to wreszcie dojdziemy do tego, że słynny § 19 ust. pras. znajdzie i tu zastosowanie a pewnego poranku otrzyma redakcya sprostowanie na podstawie § 19 u. p.: „Nieprawdą jest, jakobym śpiewał w połatanych spodniach, natomiast prawdą jest, że w całych spodniach śpiewałem...“

W ten sposób postępując, p. Grąbczewski nie może liczyć na powodzenie. A nie mówię o samem powodzeniu materyalnem... No bo...

A teraz co innego. Jak zwykle na zakończenie. Pewien radca, nawet właściciel zadłużonej kamieniczki i dwóch córek, ma nadto i tę słabą stronę, że regularnie raz na tydzień — jak twierdzi pani radczyni — „zapomina się“. Co prawda, to nietylko „się“ zapomina, ale i o drugich i o świecie bożym. A choć to zapominanie się powtarza się od lat dziesięciu z punktualnością zegara kolejowego lub kancelisty sądowego raz na tydzień, tj. w sobotę wieczorem, to jednak dotąd nikt nie był w stanie — nie wyłączając samej pani radczyni — przypomnieć panu radcy, żeby się dziś znów nie zapomniał. Gucio Fiszer jako Świdńkiewicz, a pan radca z ulicy... to dwie krople wody sodowej. Ostatniej soboty wracał, jak zawsze, nakładając drogi, z powodu fatalnych zygzaków, mocno „naelektryzowany“ mrucząc pod nosem jakąś rzewną pieśń z młodości sielskiej, anielskiej, to znów naprzemian klnąc magistrat i jego porządki i jego latarnie, włażące w drogę spokojnym obywatelom... Wtem chwyta go ktoś za bary...

— Na bok policaj — zawołał pan radca, jakby ze snu zbudzony.

— To nie policaj, to ja... — odpowiedział napastnik.

— A, to ty Jasiu, dawaj pyska...

Pocałowali się.

— A ty znów kirny, hultaju jeden, popatrz na mnie, jak ja się trzymam.

— To ty się tak trzymasz — zawołał radca — chyba nie widzisz, że ja stoję prosto, a ty się chwiejesz, jak ratusz lwowski.

I po tych słowach pchnęło coś pana radcę do muru hotelu Żorża. Szczęście, że to silny mur.

— No i kto kirny?

— A wiesz — powiada p. radca — możliwe, że ja, a nawet już wiem dlaczego. Wypiłem dziesięć bomb pilznera i nic, to mnie nigdy nie szkodzi, ale potem zjadłem kawałeczek sera i to mnie poderżnęło... Ten kawałeczek sera...

Klewe.

Po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Petersburgu.

W nadnewskiej stolicy, w tajemniczem mieście cara, rozbrzmiały dnia 31 października po raz pierwszy radosne pieśni rewolucyjne, jakgdyby nagle w tym dniu znikł z Petersburga Trepow, jakby to była jakaś stolica państwa zachodnio-europejskiego. Zatrzęsły się mury miasta od rewolucyjnych okrzyków, rad ścią odetchnęły naraz wszystkie piersi, bo to był dzień dla Rosyi przełomowy, dzień narodzin nowej Rosyi, wolnej, konstytucyjnej. Opadły kajdany, więżące cały naród rosyjski, przestało istnieć panowanie knuta i nahajki, na zachmurzonym horyzoncie dziejów zajaśniało promienne, jasne słońce konstytucyi. Chwila to była epokowa; w dniu tym miliony, setki milionów niewolników, uczuło się wolnymi obywatelami konstytucyjnego państwa.

I zatrząsł się cały Petersburg, jakby różdżką czarodziejską tknięty; tłumy wyległy na ulice, przesuwały się w demonstracyjnych pochodach po placach i ulicach, na których niedawno jeszcze walczyć musiały z kozakami. Zabrzmiały rodośnie wszystkie dzwony kościelne, w oknach domów błysnęło tysiące świateł, a tłumy szły przez miasto, śpiewając pieśni, których dotąd śpiewać nie było wolno, pieśni, na których dźwięk odrazu zjawiali się kozacy i rzucali się jak opętańce na śpiewających. A dzisiaj.... Kozacy jakby się gdzieś w ziemię zapadli, oficerowie przyłączali się do tłumów, żołnierze salutowali przed czerwonym sztandarem, jaki niesiono w każdym pochodzie. Entuzyazm ogarnął tłumy. Dźwięki marsylianki wzbijały się w uroczystych, zwycięskich, pełnych tryumfu kręgach ku niebu. To lud święcił u oczyście swoje zwycięstwo, okupione wprawdzie potokami krwi i stosami trupów swych braci, mordowanych przez posiepaków carskich we dnie i w nocy, na ulicach i w domach, ale w każdym razie zwycięstwo. A owoc walki był godzien jej ofiar. Walczono o najświętsze prawa człowieka i prawa te wywalczono. Manifest konstytucyjny zapowiadał wolność słowa, wolność prasy i zgromadzania się, wolność w całem tego słowa znaczeniu.

Czerwony sztandar, jakby symbol krwawych zapasów rozpadającego się caratu z ludem, z tłumami niewolników, powiewał na czele pochodów, jakby krwawa pochodnia wolności. Przed dziesięciu miesiącami szły tesame tłumy przed pałac carski z chorągwiami i feretronami, prosząc o konstytucyę. Car kazał ten bunt w potokach krwi utopić. I wtedy tłumy te przejrzały, spostrzegły, że prośbą nic się nie uzyska, że praw nie dają, ale je trzeba zdobywać. Porzucono więc chorągwie i feretrony, a cały naród stanął pod znakiem czerwonego sztandaru. Zaczęła się rewolucya, która zwyciężyła. Czerwony sztandar powiódł naród do zwycięstwa, do wyzwolenia się z kajdan. Niesiono go więc w tryumfie, wśród pieśni rewolucyjnych, po raz pierwszy jawnie i bezpiecznie, bo już ogłoszono wolność.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze ilustracyę, przedstawiającą demonstracyjny pochód tłumów z czerwonymi sztandarami i pieśnią rewolucyjną na ustach, po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Petersburgu wieczorem dnia 31 października.

Zgon zacnego obywatela.

Ziemia polska ma w sobie coś, co pociąga do niej, uczy ją kochać i jak powiada Dzianotty w „Kościuszce pod Racławicami“ – „cudzoziemca już w drugiem pokoleniu na Polaka przerabia“. Tylko ją trzeba dobrze poznać, odczuć jej piękno i chcieć ją ukochać.

W ubiegłą sobotę zmarł w Krakowie znany w szerokich kołach naszego miasta literat i właściciel zakładu fotograficznego, Juliusz Mien. Francuz z urodzenia, przybył Mien przed laty trzydziestu do Krakowa, jako nauczyciel języka francuskiego i już z Krakowa nie wyjeżdżał. Ukochał Polskę jak własną ojczyznę, niosąc jej w ofierze pracę ruchliwego żywota.

Już jako nauczyciel francuskiego zdołał ś. p. Mien dzięki znakomitej metodzie uczenia i niezwykłej kulturze towarzyskiej



Zgon zacnego obywatela: Ś. p. Juliusz Mien.

pozyskać sobie powszechne uznanie i szacunek. Jako członek i sekretarz „Koła artystyczno-literackiego“ rozwinął obfitą w owoce działalność, był inicyatorem całego szeregu wydawnictw artystycznych, pośrednicząc w ruchu literackim między swą ojczyzną a Polską. Dał się też wkrótce poznać jako znakomity tłomacz Słowackiego na język francuski. Przekład „Ballady“, „Horsztyńskiego“ i „Lilli Wenedy“ zjednały mu nietylko uznanie publiczności, ale i krytyki, która przyznała tym pracom niepowszednie zalety językowe, a zwłaszcza doskonałe odczucie ducha poezyi Słowackiego.

Przed kilkunastu laty otworzył w Krakowie zakład artystyczno fotograficzny, który wkrótce dzięki zamiłowaniu, jakie w tej pracy okazał, stał się pierwszorzędnym zakładem. Prace jego, zaprodukowane w pismach krajowych i zagranicznych, zjednały zakładowi jego rozgłos zasłużony. Kierowany wielkiem zamiłowaniem zebrał ś. p. Mien ogromną kolekcyę fotografii polskich literatów i artystów, z której długo jeszcze korzystać będą redakcye pism illustrowanych. Wykształcił również w swoim zakładzie szereg uczniów, którzy dzisiaj znani są jako najlepsi fotografowie.

W ostatnich czasach podupadł na zdrowiu i dlatego odsunął się zupełnie od udziału w życiu krakowskiem, aż śmierć przerwała dni jego pracowitego, ruchliwego żywota.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię zacnego Francuza, który Kraków ukochał jak rodzinne miasto i przybranej swej ojczyźnie służył wiernie pożyteczną pracą.

Cześć jego pamięci!



Po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Petersburgu: Tłumy ludności przechodzą demonstracyjnie ulicami, śpiewając pieśni rewolucyjne i wznosząc okrzyki na cześć wolności.

Walka o prawo wyborcze w Przemyślu.

Ruch rewolucyjny, jaki się w tym roku zaczął w północnej Europie, ogarnął powoli i część Europy środkowej. Olbrzymie masy ludu w państwie konstytucyjnem, w Austryi, dzięki fałszywej ordynacyi wyborczej prawie zupełnie usunięte od rządów, wyzute z najświętszych praw — przebiegł nagle dreszcz, jakby te masy dopiero się ocknęły po długim śnie. To też zawrzała w Austryi walka o powszechne prawo głosowania, a zawrzała z całą siłą i potęgą uświadomionego proletarjatu.

Obecnie walka ta ogranicza się jedynie do zgromadzeń, na których uchwalają rezolucye, wzywające rząd aby zreformował ordynacyę wyborczą, oraz do demonstracyjnych pochodów, mających być dowodem, że organizacye robotnicze są silne i nie ustąpią, póki praw swych nie wywalczą. Demonstracye takie odbywają się teraz co niedziela we wszystkich większych miastach austryackich. Mają one po większej części charakter poważny, o ile tłumów demonstrujących nikt nie prowokuje.

Demonstracya za powszechnem prawem głosowania odbyła się też w ubiegłą niedzielę w Przemyślu. Wzięło w niej udział kilka tysięcy ludności, nie tylko ze sfer robotniczych, ale i z inteligencyi. Po zgromadzeniu, na którem kilku mówców w porywających słowach, przedstawiało konieczną potrzebę walki o powszechne prawo głosowania, tłumy ruszyły w uroczystym pochodzie wśród śpiewów „Czerwonego sztandaru“ i „Marsylianki“ na miasto. Na czele pochodu niesiono dużą tablicę z napisem: „Żądamy sprawiedliwości!“ dalej szereg innych tablic z rozmaitymi napisami. Policya nie miała powodu wkraczać, demonstracya odbyła się więc w największym porządku.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia zdjęcie z pochodu demonstracyjnego na rzecz powszechnego prawa głosowania w Przemyślu.



Ustąpienie Pobiedonoscewa: Oberprokurator św. Synodu Konstanty Pobiedonoscew.

Ustąpienie Pobiedonoscewa.

Nareszcie, po szalonej burzy rewolucyi, która zmiotła z widowni dziejów carat, wywalczając dla Rosyi konstytucyę, ustąpił ze stanowiska oberprokuratora św. Synodu w Petersbugu człowiek, z którego nazwiskiem łączyło się pojęcie najwstrętniejszej reakcyi, fanatyk-obrońca samodzierżawia, Pobiedonoscew. Była to postać znana w całej Rosyi i przez całą Rosyę ostatecznie znienawidzona. Bo Pobiedonoscew, ten prawdziwy barbarzyńca XX. wieku, zdołał na stanowisku tak wielkiem i ważnem zdobyć sobie kolosalny wpływ na dworze petersburskim i wpływu tego używał świadomie i celowo. Car słuchał go zawsze, a Pobiedonoscew zjawiał się zawsze wtedy, kiedy na zegarze dziejów państwa rosyjskiego miała wybić godzina ważnych reform, epokowych zmian. Pobiedonoscew, zapalony przeciwnik wszelkiej idei wolności, widzący ideał państwa w samodzierżawiu, opierał się wszelkim zamiarom cara, noszącym na sobie choćby odcień tylko liberalności. Wszystkie manifesty carskie, aż po dzień 30 października wychodziły z pod pióra tego wielkiego fanatyka samodzierżawia, wszystkie nacechowane były krętactwem i frazesami, pod którymi czuć było nahajkę i knut.

Wiadomo o tem, że ze śmiercią Pobiedonoscewa zniknie na dworze petersburskiem najsilniejsza zapora, najmężniejszy filar reakcyi. Toteż na życie jego wykonano kikanaście zamachów, z których jednakże wyszedł cało. A po każdym zamachu na jego życie wpływ jego na cara i wielkich książąt wzrastał, a przez to samo wzrastała w moc i siłę reakcya; każdą myśl swobodną, każdą ideę, ze „zgniłego Zachodu“, jak mówił Popiedonoscew, zwalczano i zduszono w zarodku za jego radą i wpływem.

Dopiero w ostatnim miesiącu, kiedy mury caratu zarysowały się tak silnie, że aż w dniu 31 października padły pod ciosami rewolucyi, a car ogłosił konstytucyę, Pobiedonoscew ujrzał, że rola jego skończona. Idee „zgniłego Zachodu“ przedarły się do Rosyi, samodzierżawie przeszło do historyi, wszystkie nadzieje Pobiedonoscewa rozwiały się, jak bańka mydlana. Wtedy dopiero ten krwawy zausznik cara podał się do dymisyi, którą, oczywista, otrzymał.

* * *

Podajemy obok portret dymisyonowanego Pobiedonoscewa.



Walka o prawo wyborcze w Przemyślu: Olbrzymi pochód demonstracyjny za powszechnem prawem wyborczem w Przemyślu. Fot. M. Todt Przemyśl.

Ludwik Fritsche.

Jeden z najnowszych i — powiedzmy odrazu — bardzo cennych nabytków w dziale personalnym dramatu lwowskiego.

Zaczynał, jak tylu innych, u miłośników sceny w Warszawie, do których się zgłosił, kopnąwszy poprzednio uśmiechającą mu się wygodną przyszłość rolnika-filistra... Poszedł i tu t. j. u miłośników wyświęcił się na kapłana sztuki, które to obowiązki pełnił ku zupełnemu zadowoleniu swoich szefów, recenzentów i publiki przez lat trzy. Stąd jedzie na prowincyę, po której wędruje półtora roku aż do zaangażowania go do Poznania, gdzie w rolach lekkich amantów występuje przez rok cały.

Następnie zabiera go Senowski do swego teatru w Krakowie i tu widzi go na scenie Solski, który w imieniu dyrektora Pawlikowskiego angażuje go dla Lwowa...

We Lwowie bawi od sierpnia, a choć jest młodym artystą odrazu zajął niepoślednie stanowisko. Podoba się... Zawdzięcza to przedewszystkiem niespolitej inteligencyi i doskonałej dykcyi, która kwalifikuje go wybornie do ról lekkich, a nawet charakterystycznych amantów. Sposobi się nadto do ról rezonerów.

Całem ułożeniem, a nawet budową czaszki tudzież głosem, ruchami i mimiką przypomina łudząco Kamińskiego. Okoliczność ta jest pana Fritschego szczęściem i pechem zarazem... Szczęściem, bo przypominając Kamińskiego *eo ipso* po-



Ludwik Fritsche. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

dobać się musi i to bez zastrzeżeń; pechem zaś, bo mimowoli ściąga na się podejrzenie, iż sam nie tworzy, a tylko kopiuje. Podejrzenie co prawda wcale nie uwłaczające, bo wzorowanie się na pierwszorzędnych talentach bywa nawet gorąco zalecane, byleby nie zatracać indywidualności. Ale pan Fritsche ma na swoje usprawiedliwienie argument bardzo prosty, a przekonywujący: widział bowiem Kamińskiego po raz pierwszy w czasie ostatnich tak głośnych jego występów gościnnych w Warszawie, a już na kilka lat przedtem był p. Fritsche tymsamym co i dziś i grał w ten sam sposób.. I owszem, martwi go to, że taka drobna na pozór okoliczność psuje mu szyki w coraz wyraźniejszem podkreślaniu swojej indywidualności, a na poczekaniu nie może zmienić ani budowy czaszki, ani układu w całej rozciągłości...

Jak się rzekło, talent p. Fritsche ma wielki i wyrabia go z dniem każdym.. Debiutował w „Karykaturach" jako Kalenicki i podobał się. Tak samo jako młody Schöllhorn w „Maskaradzie" i Wielohradzki w „Bagienku". Dorini w „Macierzyństwie" i Czipsky w „Birbancie".

Dyrekcya nie zaniedbuje p. Fritschego, bo w każdej premierze znajduje coś dla niego.. To też p. Fritsche czuje się we Lwowie jak u Pana Boga za piecem, a w swego dyrekt ra wpatruje się jak w amulet... Czy kiedyś istotnie zastąpi Kamińskiego, to się dziś nie da stanowczo powiedzieć, ale sądząc po jego talencie i szczerości w pracy, można mu przepowiedzieć, że nazwisko jego już niezadługo zapisze się w rzędzie wielkich artystów polskich. *Klewe.*

Z TEATRU.

„Pająk"

trzy akty napisał Zygmunt Kawecki. (Premiera z 11 listopada 1905).

Trzy akty p. Zygmunta Kaweckiego, zatytułowane „Pająk", nie są sztuką teatralną wedle utartych pojęć. Jestto właściwie tylko jeden epizod wyrwany z życia tak, jak się rozegrał, bez szablonowego motywowania dlaczego tak, a nie inaczej, skąd się biorą ci ludzie razem i w takich warunkach i dokąd odejdą, co się z nimi stanie później i jak się „skończy" ta cała historya. Naturalną przeto jest rzeczą, że przykładanie do tej sztuki zwykłych ram krytyki, podzielonych na „kratki" i szukanie, czy i o ile danym kratkom odpowiada utwór literacki, musi doprowadzić „wielkich" i „uznanych" krytyków teatralnych do tak zwanych surowych sądów. Na szpaltach „Czasu" spotkał się nawet p. Kawecki z tak ordynarnym i głupim tonem feljetonowego blagiera p. Konrada Rakowskiego, że doprawdy dziwić się trzeba, że redakcya tego „wielkiego" pisma pozwala na podobne wylewy kabotynizmu. Dorobkiewicz życiowy i dziennikarski, p. Rakowski, którego każda myśl jest bądź świadomie bądź mimowoli ukradzioną, którego zdanie artystyczne kierowane bywa bądź epileptycznemi drganiami politycznych prądów w „Czasie" bądź powiewem spódnic, które wydymają westchnienia kierującego redaktora, zdobywa się nagle na „indywidualność" wobec autora, który ani do kliki „Czasu" nie należy, ani nie jest współadoratorem p. Sulimy, a zatem wobec niego ma p. Rakowski wolną rękę. Staje się więc sobą i wylewa całą swoją duszę wolną od obcych myśli, pompatycznych zwrotów i czczych frazesów. Zlewa pomyjami kabotyńskich drwin autora, bo się nie boi, żeby za to miała się na niego pognie wać p. Sulima, aby go to mogło narazić na wyrzucenie z „Czasu".

„Pająk" zajął publiczność, choć jako sztuka ma liczne wady i przy utartych pojęciach o teatrze nie może mieć trwałego na scenie bytu.

Treść tej sztuki da się opowiedzieć kilku słowy. Człowiek niecodzienny, neurastenik czy blagier, zjadliwy i żółciowy krytyk wszystkiego i wszystkich, kryjący po a tą ciągłą negacyą może nawet bezdenną pustkę duszy i serca — męczy sam siebie i dręczy ludzi, z którymi zetknęło go życie. Oni wszyscy codzienni, normalni, żywi, on inny od nich.

Ludzie jak Grybicz, ów „Pająk", wróg kobiet z przekonania czy wrodzonej niemocy, który nic nie robi, tylko jak puszczyk głosi innym smutki i nieszczęścia, tacy ludzie są dla widza zawsze komiczni, nigdy tragiczni. Na scenie takie postacie trzeba stawiać jasno tak, żeby przeciętny widz (teatr wypełniają na ogół przeciętni widzowie) nie miał żadnych wątpliwości, inaczej powstaje w ich wyobrażeniach chaos, gdyż nie wiedzą, jak np. p. Konrad Rakowski, co jest karykaturą, a co tragizmem — i głupkowatym śmiechem pokrywają swój niepokój, wynikły stąd, że zobaczyli coś „nie pod ich miarę".

Sztuka więc, jako całość, dla teatru nie przedstawia wartości, brak jej bowiem interesującego lub przekonywującego założenia i zagadnienia.

Natomiast robota sceniczna jest jędrna i poprawna, ruch w sztuce żywy i zajmujący, mimo, że tam właściwie nic się nie dzieje, zaś wprowadzone postacie wrost doskonałe. Fiolecki poeta, Kamm, syn fabrykanta, piszący „przedsłowia" do dzieł kolegów, Żana studentka, pan Szrot, Aga żona Rosteckiego, wszystko to ludzie żywi, wybornie z życia podchwyceni. Dyalog jędrny, literacki, skrzy się niekiedy naturalnym dowcipem, to też nieraz salwy śmiechu wybuchały w audytoryum.

Gra artystów była doskonała; na pierwszy plan wybił się oczywiście jako Grybicz p. Solski. Szkoda, że ten znakomity artysta, przez objęcie dyrekcyi, pozbawia nas częściowo tego, co w nim jest najlepszego tj. artyzmu, a coraz bardziej wszystkim daje uczuć to co w nim jest najwstrętniejsze — człowieka i charakter.

Pan Zygmunt Kawecki, autor „Pająka", nie należy do kliki Żuławski, Rydel i spółka, nie umie się kłaniać ani reklamować, pracuje w ciężkich i trudnych warunkach, bo w ciągłej walce o byt i trosce o jutro — więc nie dziw, że jest i będzie mu u nas bardzo trudno, mimo prawdziwego talentu... Możeby prze ie jakoś uderzyć do p. Sulimy... Jakżeby zaraz inaczej pisał „znawca" p. Konrad Rakowski?! *Oświk.*

Kurz-Wodosławska.

Lwowanie znają panią Kurz-Wodosławską z czasów dyrekcyi Schmitta, kiedy młodziutka śpiewaczka urodzona i wychowana w Warszawie, po studyach muzycznych u tamtejszego nauczyciela śpiewu, słynnego Mikulskiego, przyjechała do Lwowa, ażeby debiutować w „Strasznym dworze", a potem na stałe się angażować w teatrze hr. Skarbka. Debiut i dalsze występy (Halka, Faust itd.) uwieńczyło olbrzymie powodzenie dzięki pięknemu głosowi sopranowemu, nadającemu się do partyj liryczno-dramatycznych. Z innych zalet wymieniają recenzenci idealną czystość intonacyi, wyborną dykcyę, pięknie frazowanie, a przytem nader ujmujące warunki zewnętrzne.

Z tą samą dyrekcyą śpiewa w sezonie letnim w Krakowie i — z tem samem powodzeniem. Po sezonie operowym wraca do Warszawy, następnie śpiewa w teatrze łódzkim, objeżdża większe miasta Królestwa i znów wraca do Warszawy, na szereg występów w Teatrze Wielkim, gdzie śpiewa Halkę, Traviatę, Aidę, Santuzzę w Cavallerii i innych.

Dla dalszych studyów wyjeżdża stąd do Medyolanu, gdzie przez dwa lata kształci się u Galotti i słynnego Rosiégo śpiewając zarazem na scenach włoskich (Grosseto i in.) Meddę w Pajacach, Micalę w Carmen i in., występuje dalej w teatrze Lirico, bierze udział na zaproszenie tamtejszych artystów w zbiorowych koncertach dobroczynnych a wreszcie po gruntownych studyach znów przyjeżdża do Królestwa, gdzie koncertuje przez dłuższy



Kurz-Wodosławska. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

czas bądź sama, bądź przy współudziale najwybitniejszych artystów (Barcewicz itd.) Stąd angażuje znakomitą śpiewaczkę dyr. Heller do Krakowa i Łodzi, poczem znów śpiewa w warszawskim Teatrze wielkim.

Przed dwoma laty proponuje jej ówczesny dyrektor opery lwowskiej Chodakowski *engagement* (po licznych zawodach na gwiazdach zagranicznych) i tu z wielkim sukcesem, chwalona w superlatywach przez znawców i recenzentów, śpiewa 12 razy Aidę, następnie Halkę, Walentynę w Hugenotach, Leonorę w Trubadurze, Elvirę w Don Juanie, Żydówkę, daleј ze słynną Bellincioni w Carmenie Micaelę, gdzie lwią część oklasków zabrała tej niezwyciężonej partnerce.

Z nastaniem bieżącego sezonu operowego, po przesunięciu się kilku co prawda nie najjaśniejszych gwiazd (u nas bez tego ani rusz!) znów ujrzeliśmy p. Kurz-Wodosławską na scenie. I znów prasa podnosi ten sam głos piękny, sumienną pracę, subtelność wykonania i tesame znane już zalety... Śpiewała dwa razy „Żydówkę", Leonorę w Trubadurze i Suntuzzę, którą nawet musiała w ostatniej chwili wystudyować w języku polskim.

Publiczność polubiała sympatyczną śpiewaczkę i widywałaby ją jak najczęściej na scenie. Cóż kiedy... nie ma nazwiska kończącego się na *-imi -etti -ossi* i nie przyjeżdża wprost z Włoch. Wtedy mogłaby posiadać połowę mniej warunków, a płacilibyśmy jej po 1000 koron za występ... Ta jest...

Klewe.

Do szanownej Redakcyi czasopisma „Nowości illustrowane“. Odnośnie do artykułu „Pytania bez odpowiedzi“ zamieszczonego w numerze 45 „Nowości illustrowanych“ z dnia 4 listopada 1905. upraszam na zasadzie § 19 ust. pras. o umieszczenie w najbliższym numerze pisma tego, następującego sprostowania:

Twierdzenie, zawarte w piśmie Włodzimierza Angelusa, jakoby tylko kapitaliści, zasilający jego zakład zastawniczy swymi funduszami, korzystali z nieprawych zysków, których pobieranie pismo powyższe wyraźnie przyznaje, nie jest zgodne z prawdą, stwierdziły bowiem wyniki rozprawy. iż największe, na tysiące idące zyski nieprawne, otrzymane drogą oszustnego usuwania zastawów z pod licytacyi, szły na korzyść Włodzimierza Angelusa.

Nie jest dalej prawdą, jakoby c k. sędzia śledczy dr. Kisiel był groził Włodzimierzowi Angelusowi dalszymi aresztowaniami i skandalem w całej rodzinie, a zeznania jego nie odpowiadające pytaniom, piętnował jako łgarstwo, owszem przeciwnie śledztwo w sprawie powyższej prowadzone było nader wyczerpująco i wszechstronnie i wszystkie okoliczności, których stwierdzenie leżało w interesie oskarżonych, były dokładnie badane. groźby i ostre wyrażenia, wkładane w usta c. k. sędziego śledczego, nigdy nie miały miejsca a nawet liczne doniesienia anonimowe. skierowane przeciw członkom rodziny Włodzimierza Angelusa nie uznano za wystarczające do wdrożenia przeciw tymże jakichkolwiek dochodzeń, wreszcie przyznanie się do winy, które Włodzimierz Angelus złożył w śledztwie, uczynił on zupełnie dobrowolnie i z własnej inicyatywy zgłosiwszy się w tym celu u sędziego śledczego za pośrednictwem c. k. zarządcy więzień.

Nie jest następnie zgodne z prawdą. jakoby zeznania Włodzimierza Angelusa złożone po ucieczce Konstantego Małkowskiego a tegoż obciążające nie zostały wcale uwzględnione, lecz były uważane za wykręt, albowiem przeciwnie stwierdza protokół w śledztwie spisany, iż c. k. sędzia śledczy zeznania te w całości zaprotokółował, zaś akt oskarżenia wniesiony przeciw Małkowskiemu dowodzi, iż oskarżenie to w znacznej części na tych właśnie zeznaniach Angelusa zostało oparte.

Nie jest następnie prawdą. jakoby c. k. Prokuratorya Państwa i Sąd karny mimo wiadomości, iż Małkowski zbiegł i przebywa w Częstochowie nie uczynili nic celem jego ujęcia, owszem przeciwnie prawdą jest, iż bezzwłocznie po wyjściu na jaw poszlaków przeciw Małkowskiemu rozpoczęto za tymże poszukiwania policyjne, a po stwierdzeniu jego ucieczki rozpisano za nim listy gończe, wobec atoli okoliczności, że Konstanty Małkowski jest p o d d a n y m r o s y j s k i m nie może on być władzom tutejszym wedle traktatu wydany i dlatego wydania jego nie żądano.

Nie jest również prawdą, jakoby władza sądowa i prokuratorska tolerowała znane jej fakta wyzysku lichwiarskiego na szkodę Włodzimierza Andgelusa popełnionego, owszem przeciwnie odpowiada rzeczywistości, iż żadne podobne doniesienie przeciw oznaczonym osobom skierowane i na faktach pozytywnych oparte do wiadomości władz nie doszło, gdyż w przeciwnym razie ścisłe dochodzenia, możliwe także i w obecnej chwili mimo śmierci poszkodowanego byłyby niewątpliwie wdrożone.

Nie jest wreszcie zgodne z prawdą, jakoby adwokat dr. Seinfeld zabrał był od c k. sędziego śledczego książeczkę wkładkową na 435 K bez wiedzy i zezwolenia Angelusa, oraz aby był zabrał od tegoż c. k. sędziego liczne prywatne listy Angelusa, lecz przeciwnie prawdą jest, iż wspomniana książeczka wkładkowa wydaną została dr. Seinfeldowi na wyraźne żądanie Włodzimierza Angelusa, a prywatna korespondencya przy rewizyi zakwestyonowana zwróconą została samemu Angelusowi, który pozostając wówczas w areszcie śledczym korespondencyę tę wprost z biura sędziego śledczego do Julii Brach przez dozorcę więzień odesłać polecił.

Kraków dnia 8 listopada 1905, c. k. radca Sądu krajowego wyższego i prokurator państwa. Podpis nieczytelny.

Zygzakiem.

„Więcej wart łut szczęścia, niż korzec rozumu i cnoty“, mogłaby z mędrcem ludowym powtarzać c. k. nasza ojczyzna. To, co każdemu innemu państwu zagraża przewrotem, co trwoży dynastye, bo obala trony, co mąci błogi spokój tak bardzo potrzebny do narad bodajby c. k. sejmu galicyjskiego lub do cichej a pożytecznej pracy c. k. urzędów podatkowych, słowem ruch rewolucyjny, na jaki ze zgrozą patrzymy od kilku tygodni — uratował naszą drogą ojczyznę Austryę od politycznej śmierci. Śmierci tej nie gotowała wprawdzie walnrodowska „morowa dziewica“, ale za to równie miły morowy młodzieniec“, Wilhelmem wogole, a przez siebie samego „Mądrym“ zwany.

Siedząc tedy pewnego popołudnia na... tronie, doznał Wilhelm dziwnego drgnienia w karku, potem coś zahuczało, potem jękło, potem jakby blask uderzył go w oczy, potem jakiś niby kłęb wulkanicznego dymu w nos, potem jakby coś ciężko upadło — i oto urodziła się nowa idea: trzeba podzielić Austryę i to w ten sposób, że połowę zabiorę ja, a drugą dobrowolnie odstąpię koledze po „bożej łasce“ Mikołajowi.

Ta wielka myśl poderwała odrazu „Mądrego“ na równe nogi, a że do nakreślania planów jest pochopny, zamaczał odrazu palec w tem, co miał pod ręką i na ścianie świątyni swoich rodzinnych klejnotów wyrysował nową mapę Europy. Żółty kolor (austryacki) znaczył nową granicę przyszłych dzierżaw: wilhelmowskiej i mikołajowskiej.

Gdy już ścienna mapa była gotowa, „Mądry“ obmywszy palec w sublimacie i wytarłszy go w jakiś świeżo zaszczytnie zdobyty sztandar na pułku kameruńskich łapserdaków, usiadł znowu i rozmyślał nad tem, co zrobić z „rzeczami niepodzielnemi“. Do takich zaliczył: Koło polskie we Wiedniu, rodzinę profesorów i docentów uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie, propinacyę i autonomię galicyjską, krakowską radę miejską. pp. Solskich z Mikuckim i Wójcickim, oraz dobrobyt galicyjski z urzędem podatkowym. Długo myślał, czyby się przecie nie dało i z tych dziedzin uszczknąć bodaj części. Po rozwadze jednak przyszedł do przekonania. że najlepiej będzie ten cały kram wspaniałomyślnie dorzucić na szalę kolegi Mikołaja, tak jak to czynią z nerkami, ogonami i racicami rzeźnicy przy ważeniu mięsa. „Niechaj zna moją wspaniałomyślność“. Przytem zaśmiał się w kułak swojej dłuższej ręki. Kolega Mikołaj na telegraficzną propozycyę z zapałem się zgodził, przesłał serdeczne życzenia zdrowia i bożego błogosławieństwa i prosił tylko, żeby mu przy podziale tytułem napiwku dano pewną liczbę prokuratorów, których używać myśli do desifenkcyonowania swego ludu z bakcylów zbrodniczości. „Mądry“ zgodził się chętnie, przyczem złośliwie myślał: „Ładnie się ubierze Mikołajko“.

I te wszystkie piękne marzenia i plany dotknęła apopleksya rewolucyi. Strach bowiem wziął tych, co mieli dzielić, przed zmorą. żeby sami, czy to na sznycle, czy na gulasz podzieleni nie zostali, a pod tym strachem skonała wielka idea „mądrego“. Skończyło się na żółtej mapie na ścianie. Rewolucya uratowała nam nietylko c. k. ojczyznę, ale wszystkie jej dobra z galicyjską autonomią, węgierską słoniną i czeskimi knedlami.

* * *

A gdy tak „najwięksi“ pracują dla dobra przyszłych pokoleń. aby poza własną doczesność przenieść swój rozum i cnotę, w starym grodzie Krakusa, gdzie niegdyś pod Wawelem mieszkał dyszący siarką smok, a obecnie w tem miejscu znajduje się na tę pamiątkę wielce smrodliwy kanał miejski. odprowadzający do Wisły nieczystości grodu, których zarząd zaufanie obywateli złożyło w ręce pp. Lea, Chylińskiego i Federowicza — w tym więc grodzie Krakusa wre na dobre gorąca walka o zdechłe krowy i cielęta.

Rzeźnicy z Piasków, którzy wzięli na seryo propozycye gminy miasta Krakowa co do dostarczania taniego mięsa ludności Krakowa, zatrąbili na bój przeciw gminie, zarzucając jej, że tumani tylko ludność tanim mięsem i uderzyli szturmem na weterynarza miejskiego, p. Pappe'go, z powodu jednej „spalonej krowy“ i „zdechłego cielęcia“. Szczęście dziwne sprzyjało w tej sprawie rzeźnikom z Piasków, szczęście polegające na tem, że w „dobrem towarzystwie“ galicyjskiem nie było w tym czasie żadnych ślubów, że także żaden stańczyk, zasłużony tem, że był właścicielem dóbr i posłem z większej własności. nie umarł. Te bowiem okoliczności sprawiły, że organ narodu polskiego, *Czas*, cierpiał na ogromną posuchę a szpalty jego niezapełniane opisami ślubów lub nekrologami Lola Dębickiego, tęskniły za drukiem. Otwarły się zatem skwapliwie jako plac boju rzeźników z Piasków z p. Pappe'm a pośrednio z p. Leo. (Wybaczcie czytelnicy, że nie odmieniam tego wyrazu „Leo“ i „Flatau“ — dwa słowa, których po polsku odmieniać nigdy się nie nauczę).

Walka była zacięta; przycichła wprawdzie wkrótce, nie wiadomo atoli, czy to tylko zawieszenie broni, czy trwały pokój. Niektórzy twierdzą, że zwaśnione strony już się pogodziły, bo podobno krowa z Piasków, uznana przez p. Pappego za suchotnicę, zmartwychwstała, udała się do prezydyum magistratu. a złożywszy winny hołd w poczekalni, sama zaświadczyła zdumionemu p. Leo o swojem zdrowiu, wyrażając gotowość dostarczenia swojego taniego mięsa c. k. pomocnikom kancelaryjnym sądowym i magistrackim. Inni twierdzą znowu, że p. Leo zapewnił rzeźników z Piasków, że aby im wynagrodzić ową autonomiczno-krakowską gruźlicę, której p. Pappe doszukuje się w ich mięsie, pozwoli im, t. j. rzeźnikom z Piasków, na placu św. Ducha sprzedawać tanie mięso po drogich cenach rzeźników krakowskich, przez co kwestya taniości mięsa jedn licie w Krakowie unormowaną zostanie. Najgorzej w tej walce wyszedł p. Michał Chyliński, znany z odwagi obywatel. I tak już przerażony rozruchami w Kazaniu i Noworadomsku oraz rzezią Ormian, stracił poczciwy p Michał sen i apetyt i byłby w zamian za jakąś lepszą posadę odrazu chętnie zrezygnował ze wszystkich godności magistrackich. Byłby to uczynił z pewnością, z takiej bowiem obywatelskiej ofiarności znany jest w całej Polsce. A tu jeszcze przyczynił się lęk, aby „i n t r y g a u l i c y“ nie wskazała na niego jako sprawcę pokrzywdzenia krowy z Piasków i żeby nie wykonano na nim jakiego krwawego zamachu. Z rzeźnikami sprawa, a zatem i nie żarty. Z rezygnacyą złożył więc swój los w ręce dyplomatycznego rozumu p. Leo, i czeka... aż się nie trafi „coś lepszego“, aby mógł odetchnąć po trudach pracy dla dobra publicznego.

* * *

Kończąc dzisiejsze uwagi, nie mogę pominąć milczeniem doniosłych wydarzeń, które z żywiołową siłą popchnęły odrazu na nowe tory sprawę naszego odrodzenia społeczno-politycznego i rozstrzygnęło kwestyę polepszenia ogólnego bytu stokroć łatwiej i prościej, niż wszystkie dzieła uczonych, zgromadzenia ludowe, sejmy, parlamenty, wiece kobiet a nawet wojny i konferencye pokojowe. Akt wielkiej dojrzałości i rozwagi politycznej dokonał się przed naszemi oczyma i godzi się go uwiecznić dla przykładu i nauki dalekim pokoleniom. Po tym wstępie nie potrzebuję już chyba jaśniej mówić o czem myślę... Domyśliliśmy się wszyscy. Widzę jak na dłoni rozpromienione oblicza ojców, matek, sióstr, babek, dziadków, ciotek, kochanek wreszcie! Tak, kochanek, albowiem niektórzy szermierze nowych dni wolności i odrodzenia mają już nawet kochanki!...

Aby przecież uniknąć nieporozumienia, wytłómaczę się. Oto wśród krakowskiej młodzieży gimnazyalnej, na pauzach między godzinami oraz podczas przedstawień w cyrku, na które to widowiska, jako nie wymagające zbyt wielkiego duchowego skupienia, młódź chętnie uczęszcza, rozrzucono proklamacyę z poważnemi i bardzo doniosłemi postulatami. Młodzież gimnazyalna żąda oprócz bezpośredniego, równego, tajnego głosowania, także i innych doniosłych reform a mianowicie: aby, już od piątej klasy począwszy. każdemu studentowi profesorowie obowiązani byli mówić „panie“ pod grozą suspensyi z urzędu, lub degradacyi na stróżów gimnazyalnych; aby nie wolno było dawać dwójek. aby zniesiono czesne, maturę i mundurki, z przedmiotów szkolnych zaś wyłączono: grekę, łacinę, matematykę. religię, geografię, niemieckie i fizykę, a pozostawiono prócz polskiego, śpiew. gimnastykę, i kaligrafię i dodano nowe: tańce, sztukę teatralną, grę w bilard, tennis'a, jazdę na automobilu w lecie a na *ski* w zimie etc.

Program powyższy przyjęła cała młodzież z entuzyazmem. Atoli zaraz nazajutrz zarysowała się wśród odważnych szermierzy partya radykalna, która stawia dalsze postulaty a mianowicie: 1) Profesorowie podlegają komisyi kontrolującej, wybranej bezpośredniem, tajnem głosowaniem z grona tych uczniów. którym już przysługuje tytuł „panie“. Za najlżejsze wykroczenie profesor może być zasuspendowany a nawet wydalony, a troskę o byt jego rodziny obejmie państwo. Od orzeczeń tej komisyi przysługuje profesorom jedynie rekurs do komisyi wybranej z grona tych, którzy byliby zdawali maturę, gdyby jej nie zniesiono.

2) Celem wprawienia młodzieży do społecznego życia, urządzane mają być codzień kosztem państwa w gmachach gimnazyalnych tańce i gry towarzyskie z uczennicami szkół wydziałowych a nawet z seminarzystkami. które będą obowiązane na te zebrania pilnie uczęszczać, pod grozą złej noty z obyczajów. Na te ściśle poufne wieczory profesorom i rodzicom wstęp bezwarunkowo wzbroniony. 3) W czasie gdy szkoły żeńskie opuszczają zakłady, szkoły męskie również wszystkie mają być wypuszczone. 4) Państwo założy osobne kawiarnie do studyowania bilardów. 5) Od czwartej klasy gimnazyalnej wolno każdemu gimnazyaliście mieć jawnie i otwarcie narzeczoną. Zaręczynowych pierścionków dostarczy państwo. 6) Uczniom, którym przysługuje tytuł „panie“, wolno się także żenić. Ewentualne potomstwo karmić i wychowywać będzie państwo. 7) Od piątej klasy począwszy pobierać będą wszyscy uczniowie stałe pensye, których wysokość oznaczy osobna komisya.

Niepodobna w krótkości streścić całego planu doniosłych reform. Faktem jest, że program radykalny zyskuje coraz więcej zwolenników, a jeżeli tak dalej pójdzie, nie ulega wątpliwości, że rząd ustąpić będzie musiał.

Z naszej strony życzymy powodzenia z całego serca. Nie wątpimy, że całe społeczeństwo, zwłaszcza rodzice synów i córek do szkół uczęszczających, przyłączą się we własnym interesie do tego ruchu, zapowiadającego ogromny przewrót na korzyść wszystkich obywateli. Wielka odwaga, szczerość i prostota w żądaniach, krótka droga do celu — wszystko to wróży zwycięstwo... Tylko wytrwać i walczyć *usque ad finem.* *Vide.*

Feliks Nowowiejski.

Od kilku lat spotyka się bardzo często w prasie zagranicznej, codziennej i fachowej, pochlebne, a nawet entuzyastyczne notatki o dziełach i odznaczeniach muzyka, który, sądząc z brzmienia nazwiska, jest niewątpliwie Polakiem. Nazywa się Feliks Nowowiejski (niektóre pisma angielskie i niemieckie nazywają go stale Nowowiejskim). Nazwisko to, jako imię muzyka, u nas mało znane — intrygowało niezmiernie tych, którzy zajmują się istotnie i szczerze twórczością polskich muzyków i jej rozwojem. Jakże miłą była niespodzianka, kiedym jednego ze skwarnych dni tegorocznego czerwca poznał Nowowiejskiego na plantach, dzięki jednemu z mych przyjaciół. Miły, nad wyraz sympatyczny, pozbawiony pozy młodzieniec, przybył do Krakowa, aby poduczyć się mowy rodzinnej, która, kształcąc się w funduszowych szkołach pruskich i jeżdżąc w pogoni za wiedzą muzyczną po Europie, zapomniał potroszę. Kraków, który widział po raz pierwszy, oczarował go. Nie mógł dość napatrzeć się zabytkom, ludziom i urokowi nadobnych krakowianek. Korzystając ze sposobności, nie omieszkałem dowiedzieć się o kolejach jego życia.

Nowowiejski urodził się w Warmii (7 lutego 1877 r.) gdzie w siódmym roku życia oddano go na naukę do klasztoru „Świętolipki", utrzymującego chór i szkołę muzyczną. Uczył się tu obok przedmiotów szkolnych, gry fortepianowej, organowej, a także i gry na instrumentach smyczkowych. Po ukończeniu w 17-ym roku życia gimnazyum, wstąpił do prywatnej orkiestry jako wiolonczelista. Po dwu latach pracy, powołany do odbycia służby wojskowej, odbywał takową przy orkiestrze pułkowej, grając na... waltorni. Nie był to jednak byle jaki kapelista, skoro nietylko stanął do konkursu, ogłoszonego przez „British-Musicum", na dzieło z zakresu muzyki symfonicznej, ale i zdobył pierwszą nagrodę. Milszemi od zaszczytu były pieniądze, które pozwoliły mu się uwolnić od dalszej służby i wstąpić do konserwatoryum Sterna, aby tu kształcić się dalej. Pobiera więc naukę kontrapunktu u Bellermanna i gry organowej u Diemla, a nadto zgłęb a tajniki kompozycyi u Tauberta. Kiedy wyczerpały się środki, wrócił do rodzinnej Warmii i obejmuje tu kierownictwo artystyczne T-wa św. Cecylii. Żądny wiedzy wyjeżdża jednak po półrocznym pobycie w r. 1900 do Ratysbony, aby pod okiem takich mistrzów, jak ks. Haberl i ks. Haller, poznawać „sacra i arcana" muzyki kościelnej. Po ukończeniu tu studyów, wraca do Berlina, gdzie egzamin, któremu poddać się musiał, aby uzyskać miejsce w klasie mistrzów, w tamtejszem konserwatoryum królewskiem, zjednywa mu nietylko bezpłatną naukę, lecz także życzliwość i przyjaźń mistrza Maxa Brucha, pod którego kierownictwem pracuje lat trzy. Równocześnie uczęszcza na uniwersytet, studyując filozofię. W ciągu tych studyów nie waha się wstępować kilkakrotnie w szranki konkursowe, wychodząc zawsze zwycięsko i to z laurami pierwszego zdobywcy. Za kantatę „Powrót syna marnotrawnego" otrzymuje na konkursie Mayerbera wielką nagrodę 4500 marek i za pieniądze te puszcza się w podróż po Europie. Zwiedza Wiedeń, Rzym, gdzie zaprzyjaźnia się z Perosim, szuka w Algierze i Tunisie motywów do symfonii, zwiedza w dalszym ciągu Paryż i Brukselę, w której studyuje trochę u Caeverta, a w końcu spieszy do Bonn, aby tu na konkursie Paderewskiego (1903) sprzątnąć Niemcom z przed nosa pierwszą nagrodę, swem wspaniałem dziełem „Swaty polskie". W r. 1904 staje Nowowiejski ponownie do konkursu Mayerbera z swą drugą Symfonią h-mol i ponownie zabiera 4500 marek. Po krótkiej podróży osiada w Berlinie i przyjmuje stanowisko profesora w konserwatoryum Sterna, w tej samej uczelni, do której niedawno jeszcze uczęszczał jako uczeń. Kiedy w roku obecnym ogłoszono konkurs Mayerbera, zastrzegł się rząd (konkurs ten ogłasza rząd pruski dla młodych muzyków) przeciw udziałowi Nowowiejskiego w konkursie, bojąc się zdolnego Polaka, który i tym razem byłby nagrodę zdobył niewątpliwie nową symfonią na tematach polskich.



Feliks Nowowiejski.

Na dorobek Nowowiejskiego składają się cztery symfonie (jedną z nich przygotowuje Filharmonia warszawska), oratoryum „Quo vadis" na chóry, sola, organ i orkiestrę (wystawione zostanie w grudniu w Rzymie pod dyrekcyą ks. Perosiego), Oratoryum „Znalezienie św. Krzyża" (zamówione przez papieża), kantata „Powrót syna marnotrawnego" i kilka innych kantat, a nadto msze, motiety, kwartety smyczkowe, pieśni it.d. Obecnie wykończył operę, której treść rozwija się na tle włoskiem, a którą przyjęły do równoczesnego wystawienia opera berlińska, *Teater des Westens*, tudzież opera w Elberfeld.

Mimo pracy wśród obcych, czuje się Nowowiejski Polakiem, zaznaczając to zarówno w dziełach swych motywami, czerpanymi z narodowej skarbnicy, jak i swym wzięciem się wśród obcych, bez względu na przykrości, jakie go z tego powodu wśród Niemców spotykają. Dziś, kiedy za granicą imię naszego rodaka zdobyło sobie wielki rozgłos i uznanie, zaczynamy i my myśleć o zaprodukowaniu dzieł Nowowiejskiego naszej publiczności.

—urs.—

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

26 (Ciąg dalszy).

Więc też postanowili groźbą interwencyi policyjnej zmusić sierotę do posłuszeństwa i skojarzyć związek jej z Cezarem, bo to zapewniało im bezkarność.

I w myśl planu, dobrze obmyślanego przez doktora, stryj Franciszek przyjął sierotę z nachmurzoną twarzą, pełen świętego gniewu i oburzenia.

Jak długo pan Franciszek miotał przekleństwa i czynił jej wyrzuty za lekkomyślne opuszczenie jego domu, Helena milczała, lecz gdy rozzuchwalony tem, zaczął obrażać jej dumę kobiecą i kalać jej cześć dziewiczą, zerwała się drżąca i zaczęła mu odpowiadać podniesionym tonem, broniąc swej godności i niewinności.

Powiedziała więc mu, że jedynym powodem, który skłonił ją do ucieczki, była tęsknota za ojczyzną i ich podłe postępowanie. Dodała też, że nie czyni sobie żadny h wyrzutów, bo jest czystą i niewinną, co chyba Cezar najlepiej może poświadczyć, gdy go o to tylko zapytają. A stryj udał, że to zaperanie się z jej strony, wobec faktów i okoliczności wcale niedwuznacznych, napawa go jeszcze większym gniewem i z szyderczą miną spytał Helenę, czy ona istotnie ma zamiar bronić swej niewinności, skoro późną nocą uciekła z młodym człowiekiem, potem półtorej doby spędziła w domu, o którym wszyscy dobrze wiedzą, że cieszy się jak najgorszą sławą rozpusty, a następnie już to niby jako siostra, już to jako niby żona Cezara, została przychwycona w sytuacyi, co do której niema nawet dwóch zdań i być ich nigdy nie może!

Helena z wstrętem i przerażeniem słuchała tych wyrzutów. Nie spodziewała się nigdy, aby po jej prostem, szczerem oświadczeniu, ktoś mógł jeszcze wyrażać się do niej w tak brutalny sposób i dalej podtrzymywać oszczerstwa, a kiedy Franciszek sięgnął do tego kalibru obelg, którego nawet w warstwach najniższych nie stosuje się do kobiet, rzekła krótko, ale dobitnie:

— O tem, że twój syn pomieścił mnie w jakimś podejrzanym domu, bynajmniej nie wiedziałam. Podawał mnie raz za swą siostrę, raz za żonę, chociaż sprzeciwiałam się takiemu kłamstwu, ale jeśli w tem ma tkwić materyał, który mnie obciąża, jeśli mimo, iż przysięgam wam, że jestem niewinną, dalej zasypujecie mnie wyrzutami, słowa więcej nie powiem na moją obronę! Chcecie zaś wiedzieć, co robiłam przez tych kilka dni, to zwróćcie się po informacye do Cezara!...

I to rzekłszy, chciała opuścić pokój, ale stryj przywołał ją napowrót:

— Wiem ja doskonale — rzekł szyderczo — jak mam sobie wytłómaczyć twoje postępowanie! Wiem, że liczysz na rycerskość i szlachetność mego syna, który pewnie nie będzie chwalił się tem, co zaszło między wami, ale to nam nie wystarcza, a choćby nawet nam wystarczyło, nie wystarczy nigdy dla obcych ludzi, dla świata! Zbrukałaś bądź co bądź moje dobre imię i uczciwe nazwisko, a najgorsza rzecz, że to samo nazwisko noszę ja i moje dzieci. Tem więc powodowany i chcąc uniknąć skandalu, jestem gotów zgodzić się na twoje zamiary!...

Słaby błysk nadziei opromienił smutną twarz dziewczęcia

— Chcesz zgodzić się na moje zamiary? Pozwolisz mi wrócić do Ameryki?...

— Głupstwo! — wmieszał się teraz doktor — stryj zgadza się na twoje małżeństwo!...

— Na moje małżeństwo? z kim? przecież chyba nie z Cezarem?!...

— Czy widział kto taką hipokrytkę?!... — jęknął Harras, — a z kimże innym, jak nie z Cezarem?!... Twój stryj, mój przyjaciel tylko dla uratowania twej dobrej sławy zgadza się na to małżeństwo!

Gorzki uśmiech wykrzywił zbolałą twarzyczkę sieroty.

— Daruje pan, panie doktorze, ale ja dziękuję za tę łaskę i wolę obejść się bez niej! Nigdy nie myślałam i nie życzyłam sobie tak wątpliwego zaszczytu!

— A więc znów zmienia się postać rzeczy! — rzekł doktor z dobrze udanem zdumieniem. — Panienka chciała się trochę zabawić i dalej w świat z kuzynkiem. No! moje dziecko, może w Ameryce uchodzą takie zwyczaje, ale u nas w Niemczech tego rodzaju rozrywki nie są praktykowane przez porządne panny! Ja zaś, jako opiekun, muszę dbać nie tylko o twe zdrowie i interesy, ale też i o twoją dobrę sławę, więc też dla tego oświadczam ci stanowczo, że od dziś za cztery tygodnie odbędzie się twój ślub z panem Cezarem Springerem! Czy zrozumiałaś?!...

— A ja panu oświadczam, że życie sobie odbiorę, a nie zostanę żoną człowieka, którego nie kochałam i nie kocham!..

— O tem trzeba było pomyśleć, zanim z nim uciekałaś! Teraz to już trochę zapóźno!...

— Ale, na miły Bóg, zapytajcie się jego sami, że między nami nie było nigdy mowy o żadnej miłości! — jęknęła przerażona Helena.

— Już to ja wiem o tem wszystkiem najlepiej! — odezwał się Franciszek Springer. — Przed godziną jeszcze tu, w tym gabinecie, Cezar prosił mnie o przebaczenie i błogosławieństwo, więc całkiem niepotrzebnie grasz tę komedję moja „panno" a raczej... już „pani"!...

— Co? — zawołała z gniewem sierota. — Czy to prawda? Więc on mógł dopuścić się takiej podłości?!... I wy sądzicie, że mnie to skłoni do poddania się waszej woli? Przeciwnie! Teraz dopiero przekonałam się, że on jest jeszcze gorszy od was!...

— Nie zrozumiałaś twego stryja, Heleno! — zaczął ratować sytuacyę doktor Harras. — Twój kuzyn uczuł, że tylko biorąc ślub z tobą, może zasłonić cię przed plotkami i obmową i postanowił cię w ten sposób uratować. Wdzięczną powinnaś mu być za tę rycerskość, a nie obrzucać go obelgami!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Domejko i Dowejko.

HUMORESKA.

5 (Dokończenie).

— To są wszystko wykręty. Jechałeś pan wczoraj automobilem i pocałowałeś ją pan...

— Czekajno pan, panie oficerze. Po porządku. Najprzód skończmy z tym przeklętym automobilem. Otóż oświadczam panu, że ja nic nie wiem o żadnym automobilu i za niego płacić nie będę. Co do złotego zegarka, któryś mi pan świsnął...

— Zamorduję pana!!!

— No, niech się pan nie gniewa. Mniejsza z tem, kto świsnął mój złoty zegarek, to pewna, że stało się to z okazyi automobilu...

— Odpowiadaj pan na pytania.

— Czekajże pan, niech skończę z automobilem.

— Staniesz pan do rozprawy honorowej?!

— Z kim?!

— Z panem Józefem Mayerem!

— Kiedy jemu jest Stanisław.

— To wszystko jedno, czy mu Józef czy Stanisław. Staniesz pan?!

— Nie głupim. Jeszczem nie oszalał, żebym się strzelał ze zwaryowanym fabrykantem czernidła do butów.

— On jest oficerem!

— Tem gorzej dla niego. Musi tam być bardzo źle z piątą klepką, jeśli on na starość trudni się kanonierką.

— Dość tych błazeństw! Staniesz pan z bronią w ręku?!

— Nie głupim.

Oficerowie dobyli biletów, rozdarli je i rzucili na stół. Poczem od szli. Wybiegłem za nimi. Przekonałem się, że przed mym domem stoi kilku mężczyzn. Mieli oni kije w rękach. Czekali na wyjście oficerów. Zaczęła się między nimi ożywiona rozmowa.

— Odmawia satysfakcyi.

— Mówi, że ma prawo całować twoją siostrę.

— Że nam nic do tego, co jest między nim a twoją siostrą.

— Że twoja siostra jego całowała.

Przypadło trzech ludzi z kijami i okropnie mnie zbili.

* * *

Gdym przyszedł do przytomności, przekonałem się, że leżę tam, gdzie mnie bito, to jest we drzwiach mego domu. Zacząłem jęczeć i ludzi na pomoc wzywać.

— Ulitujcie się! Pomocy!!

Krzyczałem z bólu okropnie. Posłyszał ktoś moje wołanie. Przed furtką stanął automobil. Wysiadł z niego jakiś młody fircykowaty człowiek. Miał maniery donżuana i co?... fioletową marynarkę. Uderzyło mnie to i sprawiło, że oprzytomniałem zupełnie. Nie znam tego pana, a jednak... Wszak przed chwilą, podczas całej awantury, ciągle i ciągle o kimś takim i o czemś takiem mowa była. Automobil, donżuan i fioletowa marynarka. Przeczuciem tknięty, pytam się gościa konającym głosem:

— Mój szanowny panie, jak się pan nazywa?

Gość mój zdjął sportową czapeczkę i przedstawił mi się:

— Jestem Józef Müller, obywatel.

KONIEC.

Z półek księgarskich.

Ludwik Stasiak **„Gadzina“** Powieść pruska. Nakładem Spółki wydawniczej. Kraków 1906. Szalona walka narodowościowa na Śląsku pruskim, zapasy ludu polskiego z germanizacyą, oto tło powieści utalentowanego pisarza, p. Ludwika Stasiaka. To raczej nie jest powieść, ale szkic do powieści, nakreślony z ogromną cietością i rozmachem grubemi, ale wyrazistemi liniami. Z szkicu tego wysuwa się na pierwszy plan Wojciech Trzmiel, owa „gadzina“, wyrzutek społeczeństwa, który dał się zrobić Niemcem, zapomniał o swojem pochodzeniu i przy wojsku zwłaszcza, jako podoficer, dał się dotkliwie polskim szeregowcom we znaki.

Wojtek Trzmiel został w dzieciństwie sierotą. Wychował się u swego pociotka, Walentego Kozła, który weń wpajał od dziecka, że „raczej się powiesić powinien, jeśliby miał zostać Niemcem“. Kozioł z powodu swej antyniemieckiej agitacyi wśród ludu polskiego, z powodu swojej patryotycznej działalności, nie wychodził prawie z kryminału. Wojtek Trzmiel uczył się w szkole bardzo dobrze, ale też i niemczał coraz bardziej. Wreszcie przekonany, że mu lepiej będzie, jak się wyrzeknie polskości, języka i religii, udaje się do Wrocławia, gdzie różne przechodził koleje.

Był kolporterem gazet, potem utrzymankiem jakiejś bogatej wdowy, posługaczem w łazienkach, aż wreszcie wzięto go do wojska. Tam stał się już zupełnie Niemcem, zmienił nazwisko Trzmiel na Tschmiele, wreszcie jako wysłużony podoficer dostał rządową posadę aktuaryusza przy sądzie ziemskim. Na tem stanowisku dał się namówić do wykradzenia z akt weksla z fałszywym podpisem, o co był oskarżony kupiec Kohn. Kupiec uciekł, a Tschmielego aresztowano i skazano na dziesięć lat ciężkiego więzienia. W kryminale kazano mu raz kopać grób dla zmarłego więźnia. Dowiedział się, że to był grób dla jego pociotka, dla Kozła, który umarł w kryminale, ale za inną, za świętą sprawę. Wtedy obudziła się w nim dusza. Zapłakał i na grobie nieboszczyka zmówił „Zdrowaś Maryo“ po polsku. Po odsiedzeniu kary odstawiono go do wsi rodzinnej. Było to w wilię Bożego Narodzenia. Zoczywszy w chacie pociotka, jak się łamia opłatkiem, jak babka nakazuje dzieciom, by zawsze zostały Polakami, nie mógł wytrzymać i powiesił się na drzewie obok rodzinnego domu. „Oderwał się liść od pnia macierzystego, spodlał, zleciał, zginął“ — jak powieść się kończy.

Znakomite, tragiczną siłą przetoty tchnące są zwłaszcza opisy służby wojskowej oraz wydobywanie zeznań więźnia przez żandarmów. Powieść pisana bardzo potoczyście i zajmująco.

Rozwiązania z Nru 45.

Szarada: Racławice.

Arytmogryf kryształowy.

J
l u d
H a l k a
B r w i n ó w
M o n i u s z k o
M a r y a s t u a r t
J u l i u s z K o s s a k
K r ó l i K o w s k i
S t o j o w s k i
T o ł s t o j
W i s ł a
G a z
k

Juliusz Kossak.

Arytmogryf literacki.

B e ł c i K o w s k i
R a p a c k i
G r u s z e c k i
B l i z i ń s k i
D u m a s
S i e n k i e w i c z
S m o l e ń s k i
S u r y n
M a t u s z e w s k i
D e o T y m a
R e j
L e n a r t o w i c z
C h e ł m i c k i
H e f m a n o w a
N i e m o j e w s k i
G o r e c k i
S i e m i r a d z k i

Kazimierz Tetmajer.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Stanisław Wybranowski Kimirz, Larol Ludwig Borysław, A. Skulski Lwów, Helena Mokrzycka Turbia, Tadeusz Domain Sanok, Józef Duszyński Niepołomice, Rudolf Idzikowski Dębniki, Zofia Ciechanowska Stary Sambor, Jan Zawiślak w Sosnowie, Karolina Samborska Tarnopol, A. Surowiecki Podgórze, Józef Czaczka Rzeszów, A. Żralski Podgórze, Wanda Madeyówna Rzeszów, Ludwik Romański Myślenice, Drukarnia J. A. Pillera Rzeszów, Stanula Samocice, Stanisław Łaszkiewicz Słotwina, Jan Biegoń Ślemień, K. Chodkiewicz Zbydniów, St. Bassara Niwiska, Władysław Hałdziński Lichwin, Fr. Kalita Gawłuszowice, Władysław Błoński i Maryan Thuma Tarnobrzeg, Fiałkiewiczowie Sądowa Wisznia, Helena Leligdowicz Podkamień, Augusta Lewicka Kamionka Strum., Helena Ulrych Malin, H. Zielińska Manajów, K. Kopfówna Lwów, Rudolf Żabka Biała, Eugienia Bogdalska Koropuż, Aniela Huzarowa Byczkowce, Stanisław Szwabowicz Żurawno, Dr. L. Świeżawski Gładyszów, H Dydacka Żurawno, Marya Cetera Dubiecko, Mieczysław Różański Gorlice, T. Pietrzkiewicz Miżyniec. Olga Górkowa Chyrów, Janina Ramoszyńska Borysław, Karolina Keimar Przemyśl, Ks. Konarski Kozowa, Jan Badura Rożdzień, Morawska Kraków, Jacek Pasieka Łuka, Karol Fuchs Peczeniżyn, Dr. J. Glaroko Wieliczka, T. Wasiewiczowa Baranów, Towarzystwo Kasynowe Rozwadów, Aleksander Bocsoń Bóbrka, Jadwiga Tabor Lwów, Stefania Bernacka Kraków, Stan. Dobrzyniecka Widynów, M. Opolska Czarny Dunajec, Marya Arbesbauer Lwów, J. Talaga Stałe, Kasyno Żurawno, A. Knapińska Kraków, Maryan Zoellner Rozwadów, Salomon Samueli Limanowa, Ignacy Rosenstock Kraków, H. Olszeniakowa Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, O. Niedziałkowski Kraków, Józef Zehnwirth Klimkówka, Antoni Kwieciński Woźniczna, Fr. Orczykowski Krzeszowice, Dr. Dolnicki Stryj, Piotr Smaga Śniatyn, Józef Kobylański Honiatycze. Abonent z Dług, M. Biliński Swanków, A. Stokłosa Tarnopol.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Eugenia Bogdalska Koropuż. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Pierwsza i czwarta na białym liście,
(Gdy opłacony jest oczywiście).
Drugie i czwarte znajdziesz gdzie pola
A pnie się po nich groch i fasola.
Czwarte i drugie wśród średniowiecza
Mieli moc daną ognia i miecza
I w imię prawa i z jego ręki,
Winnych, niewinnych brali na męki.
A samo *drugie* ma gramatyka,
Trzecie się w grece często spotyka,
Czwarte litera w polskim alfabecie
Łatwo ją w samym środku znajdziecie.
Całość zaś cztery mieści sylaby,
Wyspa słynąca swemi powaby.
Strojna w palmowe i oliwne drzewa
A morza ciepły prąd ją oblewa.

Arytmogryf.

(Ułożyła Helena J.).

11
20 16 11
24 16 7 20 7
11 15 2 22 20 7 19
8 13 2 6 17 13 22 16 2
11 16 7 22 17 16 7 8 17 3 24
5 16 7 20 7 18 11 12 16
11 21 13 18 2 3 19
7 10 16 25 15
22 3 24
24

Podane liczby zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe czytane z góry na dół w kierunku pionowym i poziomym, utworzyły nazwisko znanego powieściopisarza.

Znaczenie wyrazów:

2. Spółgłoska. 2. Zwierzę. 3. Roślina. 4. Sławny podróżnik. 5. Państwo w wiekach średnich. 6. Powieściopisarz polski. 7. Artysta dramatyczny. 8. Szczep słowiański. 9. Kraj w Afryce. 10. Czasownik. w trybie rozkazującym. 11. Spółgłoska.

Łamigłówka.

*	o	o	o	o	o	o	o	o	o	o	o	o
*	o	o	o	o	o	o	o	o	o	o	o	
*	o	o	o	o	o	o	o	o	o	o		
*	o	o	o	o	o	o	o	o	o			
*	o	o	o	o	o	o	o	o				
*	o	o	o	o	o	o	o					
*	o	o	o	o	o	o						
*	o	o	o	o	o							
*	o	o	o	o								
*	o	o	o									
*	o	o										
*	o											
*												

1. Główne miasto obwodu tejże nazwy nad rzeką Irtyszem w Rosyi. 2 Znakomita tragiczka (aktorka). 3. Jeden z dramatów Shakespeara. 4. Wysoki urzędnik. 5. Umowa przedślubna. 6. Poeta i komedyopisarz polski, zmarły w roku 1901. 7. Imię męskie. 8. Tytuł dramatu Schillera. 9. Imię kobiety. 10. Roślina rosnąca na bagnach. 11. Nazwa dźwięku w muzyce. 12. Zaimek wskazujący. 13. Samogłoska.

Pierwsze litery oznaczone gwiazdkami, dadzą imię i nazwisko najpopularniejszej obecnie osobistości w całym świecie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy: **„Wspaniałą flaszkę perfum“.**

Kącik humorystyczny.

Przestroga.

Matka (do małego Józia): Mówię ci, niedobry chłopcze, nie drap noska, bo dostaniasz *nostalgii*!...

W kawiarni.

— Czemuż to pan dobrodziej taki wesoły... taki rześki?

— Ożeń się, mój młodzieńcze, a będziesz wiedział, co to za szczęście i rozkosz zostać wdowcem!...

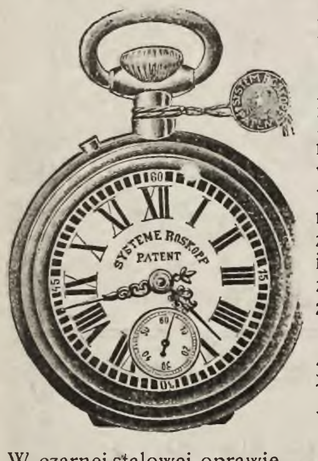
Także pochwała.

— Doprawdy, pańska żona była przecie bardzo odważna.

— Dlaczego?

— Ponieważ miała odwagę wyjść za pana...

Tylko 5 koron **Anker-zegarkiem przyszłości** Tylko 5 koron



jest mój **prawdziwy szwajcarski** antymagnetyczny **Patent Anker-Remontoir zegarek „System Roskopf“** z masywnem, w kamieniu chodzącym, anker werkiem, z prawdziwym emaliowanym cyferblatem, masywną prawdziwą pląbą ochronną, zaopatrzoną niklową oprawą i szarnirową okrywką nad werkiem, z okrągłem uszkiem, 36 godzin idący, ozdobną pozłacaną wskazówką, dokładnie uregulowany, **z 3-letnią pisemną gwarancyą,**

sztuka 5 koron

3 sztuki K 14–, 6 sztuk K 27—.
Ten sam zegarek z sekundową wskazówką sztuka . . **K 6·—**
3 szt. K 16·–, 6 szt. K 33·—.
W czarnej stalowej oprawie . . . . **K 6·50**
3 szt. K 18·–, 6 szt. K 34·—.
W podw. kop. z prawdz. nikl. opr. bez wskaz. sekund. **K 8·—**
3 szt. K 22·—, 6 szt. K 40·—.
Z podwójnemi kopertami w czarnej stalowej oprawie **K 8·50**
3 szt. K 23·—, 6 szt. K 42·—.
Z podw. kop. w prawdz. nikl. oprawie z sekund. wskaz. **K 9·—**
3 szt. K 24·–, 6 szt. K 45·–.
W prawdz. srebrn. oprawie, otwarty, bez wskaz. sekund. **K 10·—**
3 szt. K 28·–, 6 szt. K 52·—.
W trwałej srebrn. oprawie, otwarty, ze wskaz. sekund. **K 12·50**
3 szt. K 35·–, 6 szt. K 68·–.
Podwójnie kryty, w srebrnej oprawie (3 srebrne koperty), wskazówka sekundowa . . . . **K 16·—**
3 szt. K 46·–, 6 szt. K 90·–.
Podwójnie kryty w ciężkiej, bogato grawirowanej, srebrnej oprawie, ze wskazówką sekundową . . **K 18·—**
3 szt. K 50·–, 6 szt. K 96·–.

Proszę tych zegarków nie porównywać z taniemi Roskopf zegarkami, które są wszelkimi znanymi sposobami reklamowemi narzucane odbiorcom. **Mój Anker, zegarek przyszłości,** odpowiada wszelkim wymaganiom P. T. Odbiorców. **jako znakomity i punktualny czasomierz.**

Wysyłamy rocznie 50.000 sztuk ku zupełnemu zadowoleniu P. T. Odbiorców. Ta wielka cyfra wysłanych zegarków **jest najlepszym dowodem rzetelności** mojego domu wysyłkowego. **Każde, nawet najmniejsze, zamówienie zostaje bardzo dokładnie załatwione. Zamiana w nieuszkodzonym stanie, jak również zwrot zapewniony.**

Wysyłka za zaliczką przez

Pierwszą fabrykę zegarków Hanns Konrad w Brüx Nr. 1381. (Czechy).

C. k. sądowy rzeczoznawca. Odznaczony c. k. orłem austryackim, złotymi i srebrnemi medalami na wystawach i więcej jak 100.000 listami uznania ze wszystkich stron świata.
Bogato illustrowane cenniki, przeszło 1000 illustracyj, wysyłamy na żądanie darmo i opłatnie.

Klisze na cynku, mosiądzu i miedzi do wydawnictw naukowych, artystycznych, kart z widokami, cenników i t. d. i t. d.

najlepiej i najtaniej wykonywa:

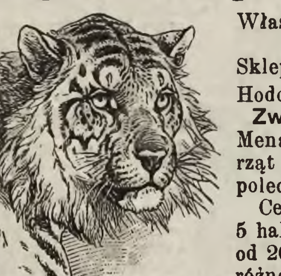
NAJWIĘKSZY KRAJOWY ZAKŁAD

dla reprodukcyi fototechnicznej

T. Jabłoński i Spółka w Krakowie

Telefon Nr. 614. ul. **Franciszkańska 4.**

Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis“



Właściciel: **A. MUSIOŁEK**
założony w roku 1897.
Sklep: **Kraków, ul. Sławkowska 16.**
Hodowla i skład zwierząt:
Zwierzyniec „Willa Wisła“.
Menażerya i własny park zwierząt w „Parku Krakowskim“ poleca się nadal Szan. PT. Publ. Cenniki bezpłatnie za nadesł. 5 hal. marki. Młode Bernhardy od 20 zł. Foxterriery, Jamniki, różne rasowe kury, angora koty, kolibry, papugi, harceńskie kanarki, złote rybki, oswojone małpki i t. d. — Bardzo tanio wypycha się ptaki i zwierzęta.

Uwaga: Ok. 20 to letnie praktyczne doświadczenia, jakoteż dokładna znajomość fachowa, nabyta w kraju i zagranicą, dają mi możność uskutecznienia starannego, wszelkich poleceń w zakres hodowli i sprzedaży zwierząt wchodzących, po najniższych cenach jak dotąd tak i nadal.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

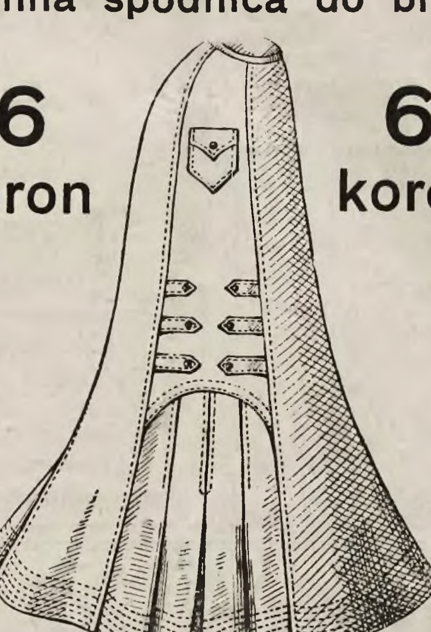
Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Elegancka paryska

jesienna spódnica do bluzek

6 koron

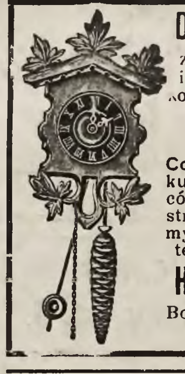


6 koron

Najmodniejszy fason garnirowany skórką z najdelikatniejszego tyrolskiego włosia, w kolorach: czarnym, szarym, niebieskim, jakoteż koloru identycznego z tkaniną lub angielskiego, z materyałów trwałych, wytłaczanych w desenie różnego koloru sporządzane, czynią zachwycający efekt. Każdy kostyum będzie podług nadesłanej miary wykończony. Wystarczy oznaczyć szerokość obwodu sukni u dołu, w biodrach i w talii, długość z przodu od talii. Na życzenie może „kostyum Schoss“ być przybierany aksamitem lub jedwabiem. Na prowincyę wysyła się za zaliczką.

„Zur Schoss-Fabrik“ Wiedeń XVI., Lerchenfelderstr. 2.

Dobrze idące Szwarcwaldzkie zegary



zdobne, z dobrym werkiem i 3-letnią rękojmią, białe kościane wskazówki i cyfry, 18 cm. wysoki, kompletny z bronzowanym ciężarkiem, nadzwyczaj tani

tylko koron 2·50

Corocznie wysyłam więcej niż 50.000 zegarków ku najwyższemu zadowoleniu moich P. T. Odbiorców. Poważna ta liczba, który jest jedyną w Austryi, daje najlepszy dowód o solidności mojej firmy. Każde nawet najmniejsze zamówienia uskuteczniam najskrupulatniej. Wysyła za zaliczką

Hanns Konrad Pierwsza fabryka zegarków w Brüx Nr. 1384 (Czechy).

Bogato illustr. cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

BIELIZNĘ



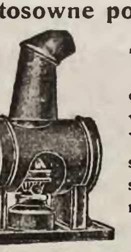
Dra prof. JAEGERA i Dra LAHMANNA

POLECA

ZDZISŁAW ZDANOWICZ
KRAKÓW, SŁAWKOWSKA 3.

Stosowne podarunki dla chłopców.

Latarka magiczna



lakierowana na czarno, z objekt. niklową, z 3 soczewkami, lampą do nafty i z 12 obrazkami

20 cm. wys. 3·50 kor.
Ta sam. 24 » » 5·— »
» » 28 » » 8·— »
» » 34 » » 12·— »

Tanie maszyny parowe



opalane spirytusem, stojące z cyl. went. bezpiecz., z piszcz. parow. Wys. 24 cm., całkowit. z lampką spirytus. zapakow. w pudełko kosztują za sztukę 1·50 kor. Ta sama maszyna parowa większa i 34 cm. wysoka za sztukę 2·80 kor.

Do nabycia wprost:

HANNS KONRAD

I-sza fabryka zegarków w Brüx nr. 1391 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z więcej niż 1000 rycinami przesyła się na żądanie za darmo i opłatnie.

„FLORA“
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKÓW, PODWALE 13.

Poleca się
EDMUND MARYAN BEER
Jubiler i złotnik
długoletni współpracownik b. firmy
J. OSTROWSKI & J. STRZELECKI
LWÓW, Akademicka l. 4.

Nienawiść a miłość

czyli

tajemnice zamku Felseg

sensacyjna powieść, wychodzi w zeszytach **po 20 halerzy,** zeszyt okazowy rozdaje

bezpłatnie

Ajencya pism:
J. Hopcasa i A. S lomonowej w Krakowie, Plac Maryacki l. 2
i w kiosku przy rogu ul. Dietla.
Zamówienia z prowincyi proszę adresować: **R. Landau, Lwów** Czarneckiego l. 3.

Za 50 koron

przyjmujemy ograniczoną ilość włościan do podróży z Roterdamu, Antwerpii lub Havru

do Ameryki południowej

Kto chce skorzystać ze sposobności, która się już może nigdy nie zdarzy, a która nie nakłada żadnych obowiązków, niechaj się zwróci do:

ATLANTIC EXPRESS
12, Duke Street, Aldgate London E. C.

Prawdziwe, przez zastępcę rządu zbadane, informacye o stosunkach pracy, klimacie i t. p. zostają bezpłatnie udzielane.

NA SEZON JESIENNY I ZIMOWY

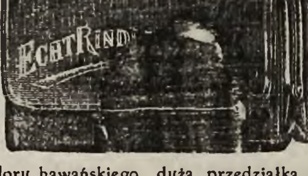
POLECA

Firma F. WINCENCIAK, Kraków

ul. Garbarska l. 4, obok **Hotelu Krakowskiego.**

Obuwie męskie i damskie, buty dla P. T. wojska i do polowania, kamasze tennisowe — z najlepszych skór krajowych i zagranicznych — fasony angielskie i francuskie, jako specyalność poleca obuwie prawdziwego fasonu amerykańskiego. Specyalny dział bucików dla dzieci i chorych. Przyjmuje wszelkie reperacye i wykonuje takowe w najkrótszym czasie i najtańszych cenach.

Modne, znakomite, skórkowe pularesy nie do zniszczenia!



Tylko doborowy tower, nie podlepiane papierem! Pularesy z hawańsko-brunatnej doskonałej skóry, przedział na drobne pieniądze z niklowem okuciem, niklowy zamek, 5 przedziałów, 9 cm. długi, 5½ szeroki K. –·95. **Tanie i dobre pularesy dla pań i panów,** z 3-ma przedziałkamif każda przedziałka z osobn. zamknięciem K. 1·10. Juchtowa sport kieska »Klub« z jednego kawałka skóry bez szwu koloru hawańskiego, duża przedziałka na drobne pieniądze, 3 przedziałki, niklowe okucie K. 1·40. Eleganckie pularesy po K. 1·60, 1·80, 2·—, 2·20, 3·–, 4·80. **Żadego ryzyka! Zamiana zapewniona albo zwrot pieniędzy.** Przesyłka za zaliczką przez

HANNS KONRAD
Dom przesyłkowy w Brüx Nr. 1390 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 illustracyami, otrzyma każdy na żądanie darmo i opłatnie.

„PENSION NOUVELLE“

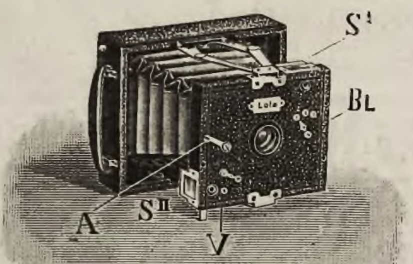
poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

Edm. Brodkowski, Lwów, plac Halicki 14 pierwsze piętro.



Poleca **po cenach hurtownych najnowsze aparaty fotograficzne** dla pp. Architektów, Inżynierów, Malarzy, Rzeźbiarzy, jakoteż do celów naukowych i amatorskich.





Cenniki gratis i franko. Na żądanie sprzedaje się na 4 miesięczny kredyt.

KALOSZE ROSYJSKIE I AMERYKAŃSKIE



POLECA

ZDZISŁAW

ZDANOWICZ

W KRAKOWIE

ul. Sławkowska 3.

5 Kor. i więcej dziennego zarobku!

Towarzystwo robotników domowych robienia pończoch.



Poszukiwani mężczyźni i kobiety do robienia pończoch na naszej maszynie. Prosta i szybka robota przez cały rok w domu.

Niepotrzebna żadna poprzednia znajomość. Odległość nie wpływa bynajmniej, a my sprzedajemy roboty wykonane.

„Hausarbeiter-Strickmaschinen-Gesellschaft“

Thos. H. Whittick & Co.

Triest, Via Campanile 13-280. Prag, Petersplatz 7, 1-280.

REIM I SPÓŁKA, KRAKÓW, RYNEK 37

POLECAJĄ

NA DRZEWKO!

dekoracye ukompletowane do ubrania całego drzewka od 2 do 16 koron.

Dekoracye i ozdoby z Lamoty, szkła, papieru, waty i żelatyny.

Pozłótkę srebrną i złotą, dyamentynę i śnieg błyszczący

JAKO PODAREK!

mydła i perfumy w eleganckich kasetkach po cenach od 1·50 do 20 K.

Perfumy, mydła, pudry, wody kolońskie z pierw fabryk angielskich, francuskich i krajowych oraz inne artykuły toaletowe.

NA GWIAZDKĘ!

Kompletne kasetki z przyborami do robót **piłeczkowych i sznycerskich.**

Przybory i kompletne kasetki do malowania olejnego, akwarelowego, na terakocie, drzewie i do napryskiwania.

Lichtarze zwykłe i ozdobne

Przyrządy do zaświecania i gaszenia lamp

Świeczki woskowe kolorowe gładkie i karbowane.



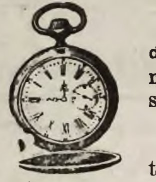
Tennisy pokojowe „Ping-Pong“.

Aparaty do wypalania.

Przyrządy gimn.

Kotwiczne skrzynki budowlane, łamigł.

Piłki, balony i inne zabawki gumowe.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato ilustrowany **cennik** zegarków, towarów złotych i srebrnych (przeszło 1000 ilustracyj)

HANNS KONRAD

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW

w BRÜX Nr. 1379 (Czechy).

Niema ryzyka! Wymiana dozwolona albo zwrot pieniędzy.

WĘGIERSKA

RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość. uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf. Budapest VII. Ovodagasse 22.

SALON KOSMETYCZNY PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

Poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

Tanie złote i srebrne przedmioty



z pisemną gwarancyą i urzędowym stemplem.

Wiktoria diamentowy pierścień w prawdziwym double złocie stemplowanym na srebrze toczonem K. 3·—, w prawdziwej z amerykańskiego złota oprawie K. 5·—, w 14-karatowym złocie K. 8·—, z prawdziwym dyamentem K· 16·—, 20—, 24·— i więcej.

Pierścień przyjacielski z prawdziwego stemplowanego srebr szt. tylko 80 hal. ten sam pozłacany K. 1·—, z amerykańskiego złota K. 4·—, z 14 kar. złota K. 8·—, **7-rzędowy pierścień przyjacielski** ze srebra K. 1·20, pozłacany K. 1·40.

Obrączki ślubne z ameryk. złota. szt. K. 3·—, 4·—, 5·—, z 14 kar. złota szt. K. 8·—, 10·—, 12·—, z prawdziwego srebra szt. K. 1·—, srebrne pozłacane K. 1·20.

Miarę na pierścionki można brać paskiem papierowym.

Kolczyki Kreolek z 14 kar. dobrego złota K. 6·—, większe K. 8·—, ze złota doublé K. 2·40.

Wielki wybór kolczyków, broszek, naramienników. Patrz w cenniku. Żadnego ryzyka, zapewniona zamiana lub zwrot pieniędzy. Przesyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

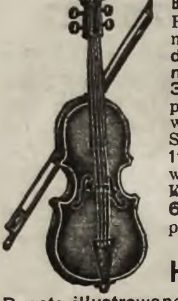
Hanns Konrad

Fabryka zegarów i dom przesyłkowy w Brüx Nr 1386 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyłam na żądanie darmo i opłatnie.

Wysyłka czeskich instrumentów muzycznych

tylko w doborowym gatunku!



po najtańszych cenach fabrycznych.

Bezpośrednio z fabryki nabywać można po cenach najtańszych!

Podług moich zobowiązań odnośne wysyłki, zamawiający nie ryzykuje wcale, ponieważ na żądanie zamieniam towary lub też zwracam pieniądze. Skrzypce dla początkujących od złr. 2·40, 3·—, 3·50, 4·—, 5·—, 6·—. Skrzypce koncertowe po 7·—, 8·—, 10·—, 12·—. Skrzypce solowe, silne w tonie po złr. 25.—, 30·—, 40·—, 60·—, 80·—. Smyczki skrzypcowe po złr. 0·50, 0·60, 0·80, 1·—, 1·50, 2.— i wyżej. Pikolo i flety, solidnie wykonane po złr. 0·50, 0·80, 1·—, 2·— i wyżej. Klarnety w najlepszej jakości po złr. 4·50, 5.—, 6·—, 7·— i wyżej. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez dom eksportowy towarów muzykalnych

Hanns Konrad w Brüx Nr. 1387 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.

i specyalnych leczniczych, pod firmą

K. RZĄCA I CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

Singera maszyny do szycia

znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach

NIEMETZ I SP.

w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku).

Przyjmuje wszelkie naprawy Ceny niskie

NOWO OTWORZONY

ZAKŁAD CYNKOGRAFICZNY

Edm. Brodkowski

Lwów, plac Halicki l. 14 pierwsze piętro.

Wykonuje: **autotypie, fototypie i cynkografie najtaniej i najlepiej.**

Cenniki gratis.

Liczne uznania są w moim handlu do przejrzenia, o próbne zamówienia uprasza się.

BIURO

NAUCZYCIELSKIE

Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling

Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego

poleca:

Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11 000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny

sznelkowy

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy. rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **po złr. 2·50** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GÖDING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem

za pomocą gorącego powietrza

odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości

po cenach bardzo przystępnych.

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

Pierwsza Krakowska

elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Mączka Gurgula.

Mączka ta ulega łatwo i prawie całkowicie strawieniu, jak to wykazała próba trawienia sztucznego, przy której 99·36% uległo strawieniu. — Mączka ta wyszczególnia się nadto tem, że zawiera wielką ilość istot ulegających strawieniu w żołądku dzieci nawet w tym wieku, kiedy zdolność trawienia istot skrobiowatych u tychże jest jeszcze minimalną. Ilość bowiem istot skrobiowatych w mączce badanej wynosi tylko 34·585%, gdy 56·61% istot nie licząc wody i soli mineralnych przypadających na istoty białkowate, tłuszcze i cukry, ulegną wchłonieniu nawet u niemowląt
3) w pierwszym okresie ich życia. Pod tym też względem **przewyższa** mączka dla dzieci St. Gurgula podobny przetwór **zagraniczny,** a mianowicie mączkę **Kufeka.**

Kraków, dnia 28 maja 1905 r. *Doc. Dr. Ignacy Lemberger.*

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.